Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka

Cena zł 20 + 1 na fundusz dzieci „CARITAS"

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 8 lutego 1948 r. | Nr 6 (115)

Mieczysław Kurzyna

RECENZJA NIELITERACKA

Będę pisał o książce, ale nie tylko o książce, choć jest ona wyjątkowo, niepokojąco ciekawa, choć można by o niej samej stworzyć interesującą rozprawę teoretyczną. Ostatecznie krytyka literacka nie wyczerpuje bogactwa życia i czasami wolno sięgnąć do zjawiska, które kryje się poza dziełem, do człowieka-twórcy i do zespołu zagadnień przez niego wyrażanych.

Chcę pisać o człowieku, o jego niepokoju i upartym dążeniu do prawdy o ironii, która pokrywa bunt i o grotesce, która jest najwyższą formą tragicznego realizmu.

Słowem, chcę pisać o książce Wojciecha Żukrowskiego.*)

„Opowiadania przewrotne"

Ten podtytuł jest dezorientujący. Sugeruje mimo woli, że autor chciał zakpić sobie z czytelników, że chciał ich wprowadzić w błąd, że coś maskował, a do czegoś nie chciał się przyznać. Stąd jako naczelne pytanie przy lekturze powstaje zagadnienie postawy ideologicznej Żukrowskiego, jako autora nowowydanych nowel p. t. „Piórkiem Flaminga". Bo ostatecznie o Żukrowskim człowieku wiemy sporo. Nie kryje on swojej przynależności do Obozu Katolickiego, nie uchyla się od twardych konsekwencji katolicyzmu. Dlatego też przy czytaniu „Opowiadań Przewrotnych" szturmuje do czytelnika pytanie, czy są one odejściem lub sprzeniewierzeniem dotychczasowej postawie, czy też dalszym ciągiem tej samej linii światopoglądowej.

Najbardziej przy tym niepokojące są trzy utwory zawarte w zbiorze: "Tajemnice Watykanu", „Monarchiści" i „Wskrzeszony Łazarz".

Pierwszą z nich scharakteryzowała doskonale w 144/45 numerze „Tygodnika Powszechnego" Starowieyska-Morstinowa. Podkreśliła ona ważność umieszczonej przez Żukrowskiego dedykacji dla „Jaszcza" i bodaj że najtrafniej odgadła jedno z zamierzeń Żukrowskiego. Istotnie tym wszystkim, którzy chcieliby znać pikantne szczegóły życia Rzymu przestroga się należała i autor daje ją im niedwuznacznie. Ale wydaje się, że jest to jeden tylko z zamiarów Żukrowskiego. Ostatecznie rozmówca narratora, Władysław Wiśniewski, „zwany panem Władziem przez sąsiadów i znajomych, a panem magistrem w zabiegach urzędowych, bo lubił zaznaczać, że odsiedział dwa lata na Wydziale Prawnym Uniwersytetu Warszawskiego" — był także „społecznikiem, należał do Stronnictwa... należał do Stowarzyszenia Ojców Rodziny Katolickiej". Słowem był katolikiem. Stąd nie ulega żadnej wątpliwości, że przestroga należy się także katolikom, tym wszystkim, którzy kryją się poza mury Kościoła w chwilach trudnych i wymagających walki osobistej. Dla Wiśniewskiego pisze Żukrowski „religia była tą samą formą asekuracji, co książeczka P.K.O.". Był jednym z tych, którzy wydają się autorowi najbardziej obcy, którzy nie są zdolni do jakiegokolwiek niepokoju, do jakiegokolwiek szukania, którzy za bastionem wiary gotowi są spać nadal, byle tylko ich spokój nie został zmącony. Pokazanie nicości takich katolików i takiego katolicyzmu było drugim czynnikiem odsłaniania „tajemnic Watykanu". — (Do tej kwestii zresztą jeszcze wrócimy).

W omawianej noweli dopatrzyć się można wreszcie trzeciego jeszcze celu, jeśli o celu przy analizie utworu literackiego może w ogóle być mowa. Ściślej należałoby raczej mówić o trzecim czynniku pasji autorskiej. Jest nim własny, osobisty niepokój twórcy. Żukrowski mówi jako narrator w noweli, a mimo woli skłonni jesteśmy traktować to jako wyznanie autorskie — „ja jestem katolikiem, jednym z chwiejących się liści na szczepie winnym Kościoła. Jakże mocno pragnę pewności, jak bardzo chciałbym znać siłę mej wiary!". W zakończeniu książki wstrząśnięty oburzeniem szepcze, czy może raczej modli się gorąco: „Boże! Boże, daj wielkie sito i przetrząśnij katolików. Jeśli jestem plewą, niech szybko idę w ogień. Ale jeśli jestem zdrowym ziarnem, **chcę leżeć wśród zdrowych ziarn**". (podkr. nasze).

To wezwanie, ta modlitwa, którą naprawdę wolno nam uznać, mimo wszelkich niebezpieczeństw tego rodzaju interpretacji, za modlitwę autorską, jest wstrząsającym wyrazem niepokoju, który dowodzić może chyba tylko jednego — gorącego pragnienia świętości.

Ten trzeci czynnik, serdeczna troska o katolicyzm i Boga w każdym z nas jest chyba naczelnym impulsem powstania „Tajemnic Watykanu".

Tym więcej, że formalnie nowela kończy się właśnie modlitwą i niemal rozpoczyna owym przytoczonym powyżej osobistym wyznaniem. Jest jakby sklamrowana naczelną myślą, gorzką, a przecież nie dającą autorowi spokoju, bez względu na to, czy tęskni za próbą wojny, czy obserwuje śpiącego Murzyna, czy opowiada jednemu z tysiąca Wiśniewskich o papieżu, który „ukradł" cytrynę!

Starowieyska - Morstinowa ma naprawdę rację, mówiąc, że Święta Cytryna „nie może wzbudzać" — z punktu widzenia katolickiego — „żadnych tak zwanych zastrzeżeń".

Trudniejszą jest sprawa zdaniem p. Morstinowej z nowelą „Monarchiści". Recenzentka zwraca uwagę na jaskrawą zmysłowość i drastyczność, z jaką pisze Żukrowski o t. zw. „sprawach ciała". Istotnie, w noweli tej odnaleźć możemy gorący, pełen zrozumienia dla waru krwi erotyzm z „Lotnej". I istotnie ilustracje Uniechowskiego podkreślają „cielesność" „Monarchistów". Ale z drugiej strony, czy może to zaważyć na linii generalnej oceny autora? Wydaje mi się, że nie.

Wydawnictwo „Awir" opatrzyło książkę w opaskę "nie dla każdego", która w sumienniejszych księgarniach jest respektowana. Wydaje się, choć może to zbyt śmiałe twierdzenie, że autorowi tylko wyjątkowo można zamykać jakieś dziedziny życia ludzkiego jako tabu. Osobiście nie umiem zgorszyć się „Monarchistami" i myślę, że większość czytelników nie odniesie zgorszenia.. Rozumiem jednak, że w problematyce literatury katolickiej sprawa ta nie jest błaha i nie podejmuję się w całości jej rozwiązać. Chodzi mi tylko o dwie rzeczy. Po pierwsze — o wyzwolenie twórczości i życia obyczajowego katolickiego z urazu erotyzmu, po drugie o właściwą proporcję zagadnień. Dlatego też jeszcze na ten temat kilka słów.

Pamiętam w dzieciństwie dawano mi do czytania cały szereg życiorysów „świętych młodzieńców", opracowanych przez jakiegoś księdza. Otóż, omawiając czystość jednego z nich, autor zaznaczał, że młodzieniec (niestety nie pamiętam o którego z Świętych chodziło, jak również nie umiem sobie przypomnieć nazwiska autora książeczki) prosił, by nie podawać mu rąk, ponieważ chce zachować czystość. Ta rzecz była podkreślona, jako wysoki stopień doskonałości i już wówczas napełniała mnie przerażeniem. Boję się bardzo, aby w ocenie moralności i niemoralności erotycznej, w utworach literackich, dokonywanej przez katolików, nie pojawił się znowu cień owej podawanej dłoni. W tym zakresie popełniamy bardzo często cały szereg rażących przejaskrawień i dobrze byłoby właśnie przy okazji twórczości Żukrowskiego, która jest zjawiskiem wysokiej klasy artystycznej, tę sprawę kiedyś szczegółowiej wyświetlić.

Druga kwestia, to zagadnienie proporcji przy ocenianiu autora. Żukrowski w „Monarchistach" rozpatruje, choć to tylko groteska, (czy może jak słusznie zauważa p. Starowieyska - Morstinowa — burleska), nie byle jaki problem, bo nie mniej ni więcej genezę i przebieg rewolucji. Pod pokostem nieprawdopodobnych, dziwnie uformowanych zdarzeń, łatwo dopatrzeć się krytyki pewnych poglądów historiozoficznych, łatwo zauważyć głębokość drwiny, zarówno z arystokratów, jak z tych wszystkich, którzy chcieliby zbagatelizować problem anno domino 1789 do wymiarów nic nie znaczących szczegółów. Ostatecznie, niejednokrotnie jeszcze podkreśla się, że w Bastylii nie było w czasie jej zdobycia prawdziwych więźniów politycznych.

W tej grotesce zagadnienie erotyzmu staje się naprawdę drugorzędnym czynnikiem i myślę, że choć byłoby jeszcze bardziej drastyczne, nie powinno dyskwalifikować Żukrowskiego

Opowiadanie „Łazarz" czyli „Radość Życia" wprowadza nas w problematykę walki natury człowieka „usidlonego" przez Boga. Tu może także należałoby szukać tej samej linii zmysłowości, przewijającej się przez całą dotychczasową twórczość Żukrowskiego. Jego „Łazarz" chce w radości życia odzyskanego znaleźć ucieczkę przed Bogiem, który jest wszędzie. Bezmiar wieczności niepokoi Łazarza, który chce żyć tylko ciałem, pić wino i spać w chłodzie palestyńskiego poranku. Żukrow-

*) Wojciech Żukrowski, „Piórkiem Flaminga" czyli opowiadania przewrotne „Awir" — Katowice, 1948, str. 206.

Wytyczne

Matka świętych

W najbliższym czasie kończy się proces beatyfikacyjny generała de Sonis, jednego z bohaterów wojny 1870, którego ciało, spoczywające w krypcie kościoła de Loigny, znalezione zostało przez komisję w stanie nietkniętym.

Francja, spoganiała Francja, stara się o utrzymanie ciągłości historii swoich świętych. Wojna 1914 — 1918 przynosi nazwiska de Foucaulda, du Plessis, Psicharigo, Péguy. Mówiąc o wojnie 1939 — 1945 mówi się już o ks. Tiat, ks. Gilbert.

A u nas? W Polsce, nazwanej przez Jaroszewicza „matką świętych", skromna lista świętych (o ileż mniejsza niż np. lista świętych angielskich!) kończy się nazwiskami Andrzeja Boboli i Klemensa Marii Hofbanera. A potem nic! Nie mówi się od dawna o podjęciu procesu królowej Jadwigi, Warneńczyka, Hozyusza, Skargi, nie stara się o ogłoszenie już ukończonego procesu beatyfikacyjnego Stanisława Papczyńskiego, nie przygotowuje się materiałów do procesów ks. Błaszyńskiego, O. Antoniewicza, Bojanowskiego, O. Czartoryskiego, Malczewskiej, O. Reichenberga, ks. Kalinowskiego, O. Beyzyma, O. Markiewicza, Matki Borowskiej, brata Alberta Chmielowskiego, matki Ożarowskiej, matki Lodóchowskiej, matki Borzęckiej, ks. Butkiewicza, matki Białeckiej, biskupa Pelczara, arcb. Cieplaka, arcb. Teodorowicza, matki Tarasiewicz, siostry Faustyny Kowalskiej, O. Katarzyńca, Piotra Borowego, matki Nastałowny, bpa. Kozala, czternastu sióstr Sakramentek z Warszawy, które ofiarowały swe życia w czasie powstania warszawskiego...

W tej chwili konkretnie robi się coś niecoś przy procesie ojca Kolbego i matki Siedliskiej. To wszystko.

Czy Polska jest nadal „matką świętych"? Czy może — jak to kiedyś powiedziano w prasie konspiracyjnej — „macochą świętych"?

ski, tworząc raz jeszcze zdeformowaną rzeczywistość, dotyka problemu nieobcego każdej zdrowej i bujnej jednostce. I daje rozwiązanie. Człowiek od Boga nie uciek nie. Nie powinna nas peszyć absurdalność mentalności Łazarza. On czuje to, co rozumie każdy z nas. Wielkość Boga przeraża, umiłowanie życia wegetatywnego pociąga, ale właśnie dzięki groteskowej formie przedstawienia łatwo wywnioskować, że rozwiązanie jest tylko w harmonii, że przerażenie zniknie, kiedy ukocha się absolutną Wielkość poza granice ciała, które wówczas przestanie być potrzebne. Mimo śmiałości koncepcji artystycznej — to jest literatura katolicka.

Niesamowitość formy

Jeśli przy omawianiu postawy ideowej Żukrowskiego opieraliśmy się na trzech najbardziej „niebezpiecznych" nowelach, to mówiąc o formie, a raczej doszukując się powodu, dla którego Żukrowski ten właśnie gatunek literacki wybrał dla swojej artystycznej wizji świata, trzeba sięgnąć do ostatniego opowiadania p.t. „Żona". Przed tym jednak parę stwierdzeń natury ogólnej.

Formę nowel Żukrowskiego określa się jako groteskę. Jest to zdeformowana wizja świata, inna od przyjętej normalnie, a przecież logiczna i konsekwentna. Gdyby posłużyć się analogią należałoby powiedzieć, że mamy do czynienia z odmienną logiką, przypominającą stosunek geometrii nieeuklidesowej do powszechnie przyjętych twierdzeń o prostych równoległych lub wzajemnych stosunkach boków trójkąta. Dwie pierwsze nowele zbiorku, a specjalnie „Litość" mogą być tego doskonałym przykładem. Ostatecznie w nowelach tych wszystko jest prawdziwe, ba, nawet realistyczne — i stukot młotka przybijającego ogłoszenie o pokoju do wynajęcia i obraz strugi wody zmywającej ulicę i opis rozprawy o krewetkach i wiele innych szczegółów. Trudno zauważyć kiedy ten dom z fin-de-siecle'u zmienia się z realistycznego obrazu w wizję groteski, aż w pewnej chwili przestajemy się dziwić, gdy radca Xylander spod stołu wyciąga rękę po jedzenie. Ten szczegół jest tu całkowicie zdeformowany.. Harmonizuje jednak z początkowym, „nie przewrotnym" opisem. Żukrowski organizuje świat z punktu widzenia tych elementów, które są mu potrzebne do wyrażenia pierwotnego impulsu twórczego, artystycznego zamierzenia. Wydobywa i pozwala rosnąć tym szczegółom, które tworzą zasadniczą osnowę noweli, inne utrzymuje w stanie niedorozwoju. Ale już po krótkiej lekturze rozumiemy, dlaczego Xylander nalepiał znaczki pocztowe i wyjadał słoninę z pułapek myszy. Papież „kradnie" cytrynę nie dlatego, że był upał, w czasie którego „skórka chłodna i gładka, jakby natarta woskiem pryskała drobniutkimi kropelkami" i chłodziła mu łysinę pod ciężką tiarą, ale dlatego, że jest to Żukrowskiemu potrzebne, jako pozornie kulminacyjny punkt przewrotnej opowieści". I tu przejawia się doskonałość artystyczna Żukrowskiego. Szczegóły oddane są świetnie, obrazowanie osiąga doskonałość rzadko spotykaną w literaturze powojennej. A jednocześnie wszystko jest na swoim miejscu, wszystko zamyka się w ramach logiki artystycznej, wszystko jest uzasadnione i potrzebne.

Wracając do owego niebezpiecznego zawsze pytania „dlaczego?" wydaje się, że słuszną jest hipoteza o głębszym, niż jedynie formalnym powiązaniu groteskowej formy z niepokojem autora. Wspomniana nowela „Żona", wyłączona brakiem podtytułu z pozostałych „opowiadań przewrotnych", może być próbą wytłumaczenia tego przejawu osobowości twórczej poety. Bo przecież nie chodzi o to w tym miejscu, jakim Żukrowski jest naprawdę. Istotnym się staje, że jako autor „Piórkiem Flaminga" tak często wracać musi na ziemię, przyciągany z kosmicznych wędrówek ręką żony. Przypominając raz jeszcze doskonałą recenzję p. Morstinowej można powtórzyć, że jest to „nie tylko może najpiękniejszy utwór zbioru, nie tylko jego posłowie, ale i jeden z najgłębszych hołdów, jakie kiedykolwiek złożył pisarz ukochanej kobiecie... Hołd, złożony kobiecie człowiekowi, kobiecie-żonie." Ale z tym wszystkim jest to także jeszcze jeden rys niepokoju autora, niepokoju, z którego ratuje go miłość, który jednak pozostaje i co chwila grozi nową ucieczką poza granice życia i śmierci. Stąd forma groteski staje się naturalnym ujściem owego niepokoju, pozwala w pełni osiągnąć zamiar artystyczny i dać wyraz temu, co leży prawdopodobnie u podłoża ostatniego dzieła Żukrowskiego.

Dwie ważne sprawy

Jeśli w pierwszej części omówienia książki Żukrowskiego starałem się odpowiedzieć na naczelne pytanie, czy można ją zaliczyć do piśmiennictwa katolickiego i udowodnić, że niesposób dopatrywać się jakiegokolwiek załamania postawy ideowej autora, to mimo woli wkroczyłem na grunt dwóch zagadnień, które domagają się wyjaśnienia.

Pierwszym z nich jest nieśmiertelny spór o literaturę programową, czy tendencyjną. Z tego co napisałem dotychczas powstać może sugestia, że główną wartość zbioru nowel upatruję w jego charakterze ideowym. Tak jednak nie jest. Poprzednie rozważania nie powinny przyćmiewać faktu, że mamy do czynienia z dużej klasy osiągnięciem artystycznym i że tylko takie osiągnięcie usprawiedliwia tendencyjność pisarza. Jest to specjalnie istotne w dobie nawoływania o literaturę programową i literaturę planowaną. Ostatecznie, gdyby Żukrowski napisał traktat o niedomaganiach katolicyzmu, to byłby co najwyżej jeszcze jednym publicystą i niczym więcej. Nawet gdyby próbował stworzyć dla swoich poglądów ramy quasi-literackie zawsze pozostalibyśmy na gruncie publicystyki. Dlatego jednak, że jest przede wszystkim artystą powstały rzeczy o trwalszej wartości. I wydaje się, że u podłoża tego typu twórczości musiało istnieć głębokie przeżycie problematyki ideowej, zanim nastąpiło uorganizowanie jej w formę literacką. Proces przeżycia odbył się poza dziełem i umożliwił jego powstanie. Jest to stwierdzenie, a zarazem wskazówka i przykład. Tendencyjność „Opowiadań Przewrotnych" nie występuje nigdzie bezpośrednio, nie jest ani doczepiona, ani przytłaczająca w stosunku do zagadnień artystycznych. W całym zbiorku została zawarta immanentnie jako bezpośrednia składowa osobowości twórczej autora i dlatego mogła wyrazić się w tak frapującej formie. Pisarzowi nie wolno narzucać ani o czym ma pisać, ani jak ma pisać bez względu na to, czy chcemy, by służył katolickiemu poglądowi na świat, czy marksizmowi. Wielki ruch ideowy dokonywuje tworzenia własnej sztuki nie przez nabijanie jej sloganami czy formułami doktrynalnymi. Przeprowadzić musi głęboką pracę wychowawczą nad człowiekiem, a dopiero później oczekiwać może rezultatu na gruncie literatury.

Wszelkie inne postępowanie będzie tylko zabijającym prawdziwą twórczość artystyczną symplifikowaniem problemu. Nie wystarczy posłać literatów do fabryk, portów, czy stołówek i spodziewać się natychmiastowych wyników w postaci „ideowych osiągnięć artystycznych". Nie wystarczy nawet dać im do ręki pewną ilość książek z zakresu teorii doktryn. Musi dokonać się głęboka praca tworzenia całej osobowości ludzkiej, która u jednostek obdarzonych specjalnymi warunkami może przejawić się w postaci dzieła sztuki, będącego funkcją i przedłużeniem ideologii. I wówczas wystarczy ocena wartości artystycznej dzieła, by znaleźć w nim wszystko, co interesuje wychowawcę i organizatora życia społecznego. Jeśli więc na początku zająłem się postawą ideową Żukrowskiego, to nie dlatego, by zagadnienia te determinowały absolutnie wartość książki. Chodziło mi jedynie o to, aby choć w małej mierze rozsnuć czad nieporozumienia, który wokół „Piórkiem Flaminga" ostatnio można obserwować, a który tak może być szkodliwy dla dalszych wytycznych literatury katolickiej.

Tu dochodzimy do drugiej kwestii; do problemu co można nazwać literaturą katolicką. Omawiając Zjazd Polonistów w Krakowie wyraziłem obawę, byśmy nie rezygnowali z szerokich ram dla tego terminu. Na marginesie nowel Żukrowskiego rzecz można poprowadzić dalej. Gdyby nawet autor nie występował w nich tak otwarcie, jak w kilku omawianych opowiadaniach moglibyśmy tę twórczość nazwać katolicką. Pozostałaby bowiem w niej owa pasja dążenia do dobra prawdy i piękna, opromieniona umiłowaniem człowieka, chrześcijańska „Charitas" i poszukiwaniem Boga. A to już z punktu widzenia naszej oceny wystarcza. Przy tym raz jeszcze zastrzegam, że chodzi mi o dążenie zawarte immanentnie w zjawisku literackim, a nie o trywialną tendencyjność i programowość.

Sprawa najważniejsza

Mimo różnorodnych opinii, jakie o „Opowiadaniach Przewrotnych" można usłyszeć i wyczytać, są one czytane. Dowodzi to poza wszystkim innym, że autor jest czytelnikowi bliski. Dowodzi jakiegoś zrozumienia, jakiegoś związku między nim a odbiorcą. I gdyby próbować odpowiedzieć na czym ten związek polega należałoby prawdopodobnie sięgnąć raz jeszcze do jego podstawy literackiej. Więcej, do jego postawy jako człowieka. Żukrowski sam czuje niepokój nowoczesnego świata i wyraża niepokój, który nurtuje jego czytelnika. Jest czasem brutalny w sądach, jest przykry, kiedy mówi, że „nie znajdował wspólnego języka i celowego, doczesnego działania" u współwyznawców. Nie szczędzi katolikom krytyki i osobistej niechęci—Mówi — „męczyli mnie i budzili wstręt ustępliwością. Byli gotowi każdemu przytakiwać, byle tylko nie narazić się na posądzenie o fanatyzm. Z lisim uśmieszkiem przemykali się na stronę przeciwnika, dezercję nazywali postępem i rozwagą. Takie zwycięstwa nie mogą dawać radości. Szukałem spotkań, chciałem się popróbować... — Mięczaki — mruczałem gniewnie, spiesząc do komunistów". Autor „Piórkiem flaminga" stawia duże wymagania tym wszystkim, którzy chcą być katolikami. Ale jednocześnie swoją postawą wskazuje wyjście, wyjście, które może burzyć spokój wszystkich Wiśniewskich, ale które jednocześnie jest jedynie trwałe. I czytelnik to właśnie wyczuwa. Żukrowski nie pozwala uciec od problematyki dziejącej się historii poza mury kapliczki. Żąda prawdziwej, głęboko związanej z Bogiem wiary i konsekwencji w jej praktyce.

Mieczysław Kurzyna

Z poezji Młodej Łodzi

Józef Szczawiński

Apostrofy do św. Franciszka

Słoneczny Kaznodziejo, dyrygencie chórów
nieuchwytnych dla ucha, grających w wodzie i trawie —
Poprowadź nas za rękę, daleko poza chmury,
nauczając modlitwy owadów i mgławic.
Do nieba jest tak blisko, wystarczy wyciągnąć ręce
lecz trzeba znać pacierze zwierząt i dziecięce.
Nachyl nam, beztroski włóczęgo Bożych ścieżyn,
błękit tak blisko, byśmy w życie mogli uwierzyć.
Bo przecież nie znajdziemy człowieczeństwa sami
w zawiłym tropie saren, w borsukowej jamie.
Z rozbitej Poncionkuli, nie każdy zdążyć umie
w błyskawicy istnienia, odbudować tumu.
Lecz gdy się uśmiechniemy, na przekór historii i wiekom,
poprowadź nas za rękę, życia Apologeto!

Stefan Henel

Łódź 1948

Szli żołnierze śpiewali
Rozszumiały się wierzby
Malowane tramwaje
biegły w przestrzeń i w pejzaż
Rozgdakane ankiety
kulą śniegu o szyby
Stały rzędem kobiety
bo na kartki dziś ryby
Biły dzwony w kościołach
a w kawiarniach brzęczało
Szaro brudną żałobą
było czarno i biało
Rynsztokami płynęła
farba, kwasy, benzyna
Wielki gruczoł dokrewny
Łódź — stężała w maszynach
Górą potok wydarzeń
w mgłach w kotlinę powracał
A w dolinie spieniona
praca, praca i praca..
W labiryncie urzędów
i na ostrzu ołówka
Polska szła tym rozpędem
jutro wziąć tygodniówkę

Józef Hertel

* *
*

Twoją bliskością niecielesną oddycham,
Twoje spojrzenie muzyką we mnie wyrasta. —
Ducha kształtu niewolonego wyzwól w sztychach,
Moc przykuwania do piękna znajdź w barw chwastach.
Dal błyszczącą sprowadzimy w ludzkie ręce,
Praca nasza będzie jak modlitwa:
Wiersz, którym się żyje, śpiewa, — więcej...
Obraz, co póki serca trwają — wytrwa...

Bolesław Piasecki

ODPOWIEDŹ III)

Wartościowanie obejmuje krąg konieczności oraz krąg dowolności. Oceniamy nie tylko, co jest, ale i to, co być może. Wartościujemy, ponieważ możemy i musimy wybierać. Wartościujemy to w czym dowolnie uczestniczymy jak i to co się dzieje bez naszego najmniejszego udziału.

Życie zawiera w sobie immanentnie konieczność wybierania. Wartościowanie jest próbą wytyczenia kierunku dla niezliczonej ilości aktów wyboru, których dokonujemy. Troska o właściwy kierunek wyboru jest wielka. Człowiek ze swej natury ma możność oceniania zjawisk, które przeżyć potrafi. W ten sposób cała rzeczywistość zastana niezależnie od rzeczywistości tworzenie staje się w przeżyciu człowieka szkołą — drugą przesłanką poza samym człowiekiem — dla dokonania aktu wyboru.

Wartościowanie przez swą łączność z zadaniem wybierania oparte jest o sam proces życia.

Zakres konieczności dla człowieka wynika ze sposobu, jaki zastosował on do wyjaśnienia rzeczywistości. Przyroda widziana najbardziej naiwnie jak i najbardziej naukowo tłumaczona jest zawsze przez ludzkość jako zbiór praw czy prawdopodobieństw lub nieprawodpodobieństw tylko, działających w sposób konieczny.

Stosunki między jednostkami i między społeczeństwami wydają się dla wielu regulowanymi przez tendencje wyposażone w moc konieczności. Stosunek do osób poza ludzkich, czy to Boga samego bez względu na to, czy jest oparty na dowodzeniu, czy na wierze powoduje uznanie przez człowieka dalszych wiążących go konieczności. Każdy sposób wyjaśnienia rzeczywistości ustala dla człowieka granicę tego, co dzieje się siłą konieczności i przez to, że jest. Każdy też człowiek w skali swoich osiągnięć posiada własny sposób wyjaśniania rzeczywistości i potrafi powiedzieć „taki jest świat". Jednakże ta właśnie wyjaśniona rzeczywistość taka, która jest konieczna w jakiś sposób poddana zostaje z kolei wartościowaniu. Uważa się o niej przede wszytkim, że jest prawdziwa przez co znajduje się podstawę do oceny wielu innych rzeczywistości, które są iluzoryczne, fałszywe. Inne wartościowania wyjaśnionej rzeczywistości polegają na wykrywaniu w niej elementów dobrych i złych, pięknych i brzydkich, przyjemnych i nieprzyjemnych stanowią sposób przekonania się o słuszności przyjętego sposobu wyjaśniania. Żądamy bowiem, aby wyjaśniona rzeczywistość potwierdzała nasze przekonanie o dobrym lub złym, pięknym czy brzydkim itd. Tak więc wyjaśnienie rzeczywistości przez ujęcie jej w kategorie przyczyny i w wypadku dla niewierzących, przyczynowości naturalnej i nadnaturalnej dla wierzących jest szukaniem sprawdzianu dla wartościowania. Z oddalaniem lub zbliżaniem się przedmiotu oceny do tego sprawdzianu zmieniać się będzie jednocześnie określenie jego wartości.

Granica kręgu dowolności dla człowieka jest przesuwalna. Im mniejszy jest błąd w wyjaśnieniu rzeczywistości, tym większa jest dowolność działania człowieka. Im bardziej człowiek rozumie, to, co istnieje, tym więcej otwiera się przed nim możliwości wyboru. Stosunek człowieka do tych możliwości, pozostaje dowolny. Spostrzeżone możliwości człowiek może wykorzystać w takim lub innym celu, w ten czy inny sposób. To wykorzystywanie jest jednakże znowu przedmiotem wartościowania. W wolnym działaniu człowieka system wartościowania zależy od systemu zakreślonych i uznanych celów. W tym wypadku ocena danego zjawiska zależy od tego czy zjawisko to przybliża lub oddala od celu.

Dwie są zatem podstawy wartościowania — rzeczywistość wyjaśniona, konieczna oraz rzeczywistość dowolna — mogąca się stać i służyć lub nie służyć spostrzeżonym celom. Wartościowanie tylko na podstawie tego, co być powinno lub tylko na podstawie tego, co jest, należy uznać za jednostronne, połowiczne, przeciwne rzeczywistości i przez to nieskuteczne.

W tym pojęciu wartościowania leży idea granicy. Istnieje krawędź, po przejściu której dane zjawisko traci wartość dodatnią, a zyskuje ujemną lub odwrotnie. Tą graniczną krawędź tworzy probierz oceny.

Probierze oceny dane są nam różne.

Nasz ustrój wegetatywny i zwierzęcy dzieli zjawiska na przyjemne i nieprzyjemne. Kryterium granicy między przyjemnym a nieprzyjemnym leży tu w dziedzinie fizycznej i wytłumaczenie go zależy od aktualnego stanu nauk przyrodniczych. Ważnym tu jest zaznaczyć, że czynnik psychiczny przez nasilenie swojej aktywności może zmieniać ocenę przeżycia fizycznego. W ten sposób np. ból może sprawiać nie tylko przykrość, ale i radość.

Probierzem prawdy jest przeżycie pewności. Przeżycie pewności uzyskujemy przez dowodzenie. Dowodzenie ma swój trwały punkt w zasadzie tożsamości. Dowodzenie nie jest jednak jedynym źródłem przeżycia pewności. Dowodzenie bowiem oparte o zasadę tożsamości u wszystkich ludzi bez względu na poziom musi dobiec swego kresu. Uzyskanie pewności jest wtedy możliwe przy pomocy intuicji lub wiary. Intuicja i wiara różnią się jednakże między sobą. Intuicja stawia zadanie dla dowodzenia, oświetla punkt do którego myśl, choć nie umie tym niemniej powinna znaleźć drogę. Wiara oświetla prawdę i daje poczucie jej pewności — prawdę która dowiedziona być nie może z uwagi na ograniczoność natury człowieka. Z tych rozróżnień wynika, że intuicja powinna zaczynać się tam, gdzie kończy się aktualnie dostępna wiedza. Wiara zaś winna panować jeszcze dalej poza kresami intuicji. Przestawiając naturalną kolejność wiary, intuicji oraz dowodzenia ryzykujemy różną jakość probierzy tej samej prawdy, która z prawdopodobieństwem wywołać musi sprzeczność między pewnościami, które przeżywamy. Sprzeczność zaś ta prowadzi do zwątpienia.

Probierzem dobra jest przeżycie służebności. To, co jest służebne celowi jest dobrem. Nie ma pojęcia dobra bez kategorii celowości. Aby coś mogło być dobrem lub złem musi służyć lub nie służyć. W tym sensie najbardziej dobrym jest to, co ma najwięcej użytych możliwości służenia.

W tym sensie najbardziej dobrym jest Ten, który sam sobie może służyć w sposób całkowicie wystarczający. Dla wierzących jest nim jedynie Bóg.

Zachodzące praktycznie spory między ludźmi na temat różnego pojęcia o dobrym lub złym wynikają z odmienności celów, którym ci ludzie próbują służyć. Ponieważ dowolność stawiania sobie celów przez człowieka jest ogromna, ponieważ sprzeczność i brak hierarchicznego powiązania między celami, którym jeden człowiek służy jest częsta — powinien stąd wynikać chaos jeszcze potężniejszy niż napotykamy w praktyce. Jednym jednak z dwóch podstaw warotściowania jest wyjaśnienie rzeczywistości. Wyjaśnienie to w sferze kryterium dobra ma potężny bo oparty o naturę ludzką współczynnik konstrukcji celów — sumienie. Sumienie jest tym, dla kryterium dobrego i złego — (poczucia służebności), czym zasada tożsamości dla kryterium prawdy — (poczucia pewności).

Jakie jest kryterium pięknego i brzydkiego. Probierzem piękna jest przeżycie wyzwolenia. Wyzwolenia od niepewności, która jest przeciwstawieniem prawdy i od braku celu, któremu warto i można służyć, co stanowi przeciwstawienie dobra. Powtórzymy raz jeszcze: w samym procesie życia tkwi konieczność wybierania. Wybieranie powoduje dążenie, jest mijaniem możliwości odrzuconych, powoduje ruch ku osiąganiu wybranych. Kryterium dobra i prawdy wytycza nam cel i drogę dążeń życiowych. Poczucie jednak pewności i poczucie służebności z przyczyn błędu i ze słabości naszej natury opuszczają nas często.

Wyobraźmy sobie człowieka brnącego w ciemną noc nieznaną drogą. Rozpoznaje on tę drogę z trudem na odległość wytężonego w ciemnościach wzroku. Każdy krok musi być właściwie postawiony, gdyż omyłka grozi zagubieniem kierunku. Kierunek zaś wyznacza cel ostateczny, odległy bardzo, leżący na granicy osiągalnego. Zdarzyć się może, zdarzy się najprawdopodobniej, że człowiek ten wskutek utrudzenia czy błędu nie tylko zmyli kierunek, lecz i odczuje pokusę zwątpienia o celu. I wyobraźmy sobie, że ten tak wtedy przeraźliwie dotkliwy mrok, otaczający wędrującego człowieka, rozedrze błyskawica. Błyskawica ta olśni go widzeniem drogi i celu na horyzoncie. Błyskawica zniknie natychmiast, ciemności wrócą. Lecz pozostanie poczucie ulgi, przeżycie wyzwolenia od niepewności, co do istnienia drogi i celu. Bo choć widzenie ich było ekstatyzą i znikło zostawiło pewność, że istniejemy. O drogę i cel trzeba dalej walczyć lecz uzbrojonym się jest w jakimś stopniu w poczucie wyzwolenia od niepewności. Taka jest istota kryterium piękna zawierająca się w przeżyciu wyzwolenia. I dlatego kryterium piękna wiąże się z właściwymi dla danego człowieka probierzami prawdy i dobra. Stanowi zmniejszenie trudu i jest wzmocnieniem na drodze poszukiwania i służby.

Rozpatrzenie charakteru probierzy nasuwa z oczywistością wniosek, że wartościowanie możliwe jest tylko na podłożu wysiłku przezwyciężania trudności tkwiących w świecie i w nas samych. Wartościowanie probierzem prawdy wymaga wysiłku uchwycenia rzeczywistości i zestawienia naszego przeżycia jej z nią samą. Wartościowania probierzy dobra osiąga się jedynie przy trudzie ujęcia celu i porównaniu jego charakteru ze sposobem naszego służenia temu celowi. Wartościowanie probierzem piękna domaga się przeżycia trudu poszukiwania drogi, konieczności kierunku — celu życia. Wartość jest zatem proporcją między czerpaniem rzeczywistości, a oddaniem się jej wyrażającym w próbie przeżycia jej treści, między braniem z celu, jako kierunku dążenia, a dawaniem temu celowi w formie służby, między wysiłkiem łożonym w poszukiwanie i dążenie, a braniem w formie wyzwolenia od niepewności i bezcelowości. Stąd samą istotę pojęcia wartości oprzeć należy na przeżyciu proporcji, współmierności i harmonii między tym, co bierzemy i dajemy. Sam zaś proces brania i dawania jako zjawisko konieczne w swej ciągłości, dowolne w zakresie możliwości świadomego wyboru stanowi istotę procesu życiowego.

Znaną jest teza, że zjawiska ilościowe przechodzą w jakościowe. Wypada tu zauważyć, że zjawiska ilościowe mają jednostkę wartości w formie liczb. Zjawiska jakościowe natomiast nie posiadają liczbowej jednostki wartości, — można je mierzyć jedynie stopniem nasilenia czyli oddalenia lub zbliżenia do kryterium danej wartości. Ujęcie tego stopnia nasilenia jest dla każdego człowieka inne ponieważ każde „ja" mimo sprzeczności natury ludzkiej posiada własną strukturalną odrębność. Nie może być zatem jakiegoś wyłącznego związku między nasileniem ilości w zjawisku a sposobem przeżycia tego zjawiska przez jednostkę. Poza tym dyskutowaną tezę, głoszącą, że zjawiska ilościowe przechodzą w jakościowe zmodyfikować należy w tym sensie, że ilość jest jednym ze współczynników wartości. Jeśli bowiem wartość jest proporcją harmonii właściwą dla danego probierza między braniem a dawaniem, to proporcja ta zmieniać się może także przez ilość rzeczy dawanych i branych. Nie ulega jednak kwestii, że może się ona zmieniać także przez odrębność rzeczy dawanych i branych, odrębność opartą o sam charakter istnienia tych rzeczy.

Wartościowanie jest zjawiskiem nadającym kierunek procesowi życiowemu przez swój wpływ na proces wybierania. Rezultat tego wybierania opartego o wartościowanie powoduje z kolei szereg zasadniczych przeżyć. Powoduje przede wszystkim przeżycie szczęścia i cierpienia, które następnie rozważyć wypada.

Bolesław Piasecki

NAGRODA

im. Włodzimierza Pietrzaka

Katolicka twórczość kulturalna w Polsce rozwija się dotychczas w atmosferze zbyt małego zainteresowania i poparcia ze strony społeczeństwa. Wielkie osiągnięcia, wybijająca się plejada utalentowanych naukowców i udane debiuty najmłodszych pisarzy, żywa i intensywna reakcja odbiorców, świadczą o pełnej wartości kulturo - twórczej katolicyzmu. Nie wolno jednak zapominać przy tej okazji faktu, że należy stale wzmacniać ją poparciem materialnym społeczeństwa.

Komitet Redakcyjny „Dziś i Jutro" przeznaczył

500.000 zł

do rozdzielenia w postaci nagród imienia Włodzimierza Pietrzaka między naukowców i pisarzy katolickich zasłużonych dla twórczości kulturalnej.

Pragniemy tą drogą spełnić ciążący na nas od dawna obowiązek i przyczynić się częściowo do naprawienia zaniedbań w tej dziedzinie.

Ponieważ trafiamy tu na nieprzeorany grunt zagadnień wymagających zasadniczych sformułowań celu i zakresu piśmiennictwa katolickiego, ponieważ pragniemy stworzyć warunki dla uzyskania maksymalnego obiektywizmu w przyszłej pracy jury. Redakcja „Dziś i Jutro" zwróciła się do szeregu wybitnych działaczy na polu katolickiej twórczości kulturalnej, prosząc ich o współpracę w ustaleniu wytycznych i regulaminu nagrody, jak i również o powołanie „jury".

W dniu 2 b.m. ukonstytuował się Komitet Organizacyjny, który wziął na siebie zadanie opracowania regulaminu i powołanie jury nagrody.

O dalszych pracach Komitetu i sprecyzowaniach szczegółowego zakresu nagrody będziemy donosili w osobnych komunikatach.

PRZEGLĄD CZASOPISM

7-my numer miesięcznika „Znak" nie przestaje być tematem rozmów. Stanowi on dużej miary wydarzenie intelektualne. Mobilizuje uwagę przyjaciół, budzi zawiść wrogów. Rzadko kiedy spotyka się tak znakomity dobór artykułów organicznie zespolonych w myśl jednej wiążącej zasady.

Przegląd niniejszy nie może dać oczywiście pełnego wyobrażenia o zawartości treściowej tego czasopisma, któremu zawdzięczamy kilka cudownych wieczorów i nôc pełną ożywczej lektury. Aby ją zreferować uczciwie należałoby streścić każdy artykuł z osobna nie ma tu bowiem ani jednej pozycji puszczonej. Są tylko rzeczy pasjonujące. Relację naszą zaczniemy jak w nowoczesnej powieści: od końca.

W dziale zatytułowanym: Zdarzenia — książki — ludzie, „Znak" przedrukował wyniki ankiety rozpisanej przez francuski kwartalnik: „Chemins du Monde" w sprawie kryzysu cywilizacji zachodniej.

A oto najciekawsze głosy: Odpowiedź zdecydowanie katastroficzną dał Belg: de Corte, profesor z Liege. W wypowiedzi jego znajdujemy obraz zupełnej beznadziejności.

„Skończył się okres kultury organicznej t. j. kultury związanej ze światem, z przyrodą i czerpiącej swe soki życiodajne z rzeczywistości. Człowiek współczesny oderwał się od przyrody i świata i stracił zmysł zdrowego realizmu poddając się panowaniu abstrakcyjnych izmów. Komórki życia społecznego będące fundamentem kultury organicznej, jak: naród, rodzina, wspólnota cechowa i t. p. ulegają dekadencji. Cywilizacja przybiera cechy uniwersalne i ujednolica się. A wszelka cywilizacja, która ujednolica się i uniwersalizuje się, nosi na sobie piętno śmierci. Cywilizacja uniwersalistyczna wykorzenia człowieka i odcina go od źródeł sił życiowych, które wytworzyły głęboką kulturę organiczną Zachodu. Warunkiem bowiem cywilizacji jest żywy kontakt z przyrodą, posiadający całkiem odmienny charakter w poszczególnych dzielnicach i krajach. Literatura, sztuka, religia i filozofia są żywe tylko, gdy posiadają bezpośredni kontakt z rzeczywistością świata otaczającego. Zerwanie tego kontaktu oznacza dekadencję".

Ba, ale na czym ten kontakt polega? Kto posiada istotne wyczucie dynamiki bytu. W tym miejscu dopiero wyłania się zagadnienie, którego profesor nie widzi. Trzeba nareszcie zdefiniować momenty, kiedy człowiek osiąga pełne zespolenie z tym co go otacza.

Przyroda powierza nam się w akcie zachwytu twórczego. Rozkwita w świadomości ludzkiej gdy jest kształtowana. Rzeczy współżyją z nami jeśli obecności ich towarzyszy pragnienie wyrazu. Natura wyzwala się w sztuce. Człowiek to organ ekspresji wszechświata. Potęguje on swoje istnienie gdy je przeobraża. Żyje, aby zaważyć na rzeczach. Wciąż kusi go: przeistoczenie. Lecz wyjdźmy poza estetykę. Zacznijmy mówić brutalnie. Korzystając ze świata nikt nie czyni go przez to piękniejszym. Najohydniejsze pejzaże pozostawił nam w spadku gorączkowy techniczny aktywizm. Technika nie jest zła. To w naszej istocie tkwi tragiczna zdolność pomnażania martwoty w momencie, gdy zwyciężamy przyrodę. Człowiek wytwarza warunki czyniące go nieszczęśliwym. Jest przeciwny życiu, które opanował. Narzędzia sporządzone przezeń mają charakter antyorganiczny. Formując, jakże wiele druzgoczą i łamią. Nie każda praca zespala nas bezpośrednio z żywą biologią. Codziennie wydzieramy ziemi elementy potęgujące energię. Z martwych brył ciepło powstaje, elektryczność — ruch. Ruch rodzi czarna substancja — węgiel: pierwowzór żałoby. Skąd go wydobywamy? Z przedhistorycznych cmentarzy. Z miejsc gdzie się puszcze zapadły. Życie to jest przemiana materii. Szybkość maszyn czerpie swój impet z siły zawartej w elemencie do cna znieruchomiałym.

Oto paradoks istnienia: Cywilizację naszą porusza śmierć utajona w kamieniu. W każdym kawałku węgla nagromadziły się tysiąclecia. Spiętrzone zasoby trwania, które wyzwala pożerający je ogień. Co pali się w piecach? To on właśnie, ów czarno skrystalizowany czas popędzający maszyny człowieka. Istotnym sprawcą dynamiki przemysłu stała się kopalnia, ten grób wyniesiony do rangi otchłani. Wchłaniamy w siebie ciepło zarażone śmiercią. Wcale nie takie jak z drzew. Inne. Mniej organiczne. Tęsknota do organiczności określa naszą postawę. Znajdujemy się w poszukiwaniu życia wymykającego się definicji współczesnych. Kiedy jest pełne? Na czym ta pełnia polega? Temat ten będzie podjęty.

Czytelnicy weźcie go na kieł. Tutaj nie dam żadnych gotowych rozwiązań. Za duży mam dzisiaj materiał. Tylko jedna uwaga. Oburzająca i dyletancka. Dramat polega na tym, że byt ujarzmiony bardzo prędko staje się odrażającym. Nudne i obrzydliwe jest wszystko co nam bezdusznie podlega. Zwyciężona materia traci swą urodę. Dlaczegoż zespalamy się z nią tylko w walce. Przecież potem przychodzi martwota. Dławią zasypane żużlami pejzaże. Wina maszyn, nie nasza własna. Dziś idzie o nowy sposób współżycia z przyrodą. Człowiek pragnie żeby go było mniej znać. Marzy o organicznej architekturze o przekształceniu wszelkiej pracy w twórczość.

Ciekawy jestem, kto powie. Wybadajmy pragnienia współczesnych. Teraz ma głos profesor Marcel de Corte! Proszę państwa on wcale nie skończył. On właściwie dopiero zaczyna.

„O panowanie nad światem walczą w tej chwili trzy kierunki: kapitalizm, komunizm i katolicyzm. Wszystkie trzy są uniwersalistyczne, abstrakcyjne i aorganiczne. Zwalczają się między sobą, ale wszystkie należą do tego samego świata abstrakcyjnej, doktrynerskiej, schyłkowej cywilizacji. Wszystkie trzy odrywają człowieka od organicznego związku z otoczeniem, a starają się urobić jednolity typ, wedle założeń jakiejś abstrakcyjnej doktryny. Dlatego autor z wielkim pesymizmem patrzy w przyszłość. Ratunkiem może być tylko pojawienie się wspólnoty ludzi, związanych więzami miłości w Bogu.

Ten wniosek w duchu chrześcijańskim kontrastuje z całym tonem wypowiedzi, przypominającej bardzo teorie nacjonalistyczne i faszystowskie.

Wypowiedzi pesymistycznych jest wiele, ale mniej skrajne niż de Corte'a. W duchu głębokiego pesymizmu wypowiada się także **Emil Dermenghem**, który wyraża obawę, że cynizm i chamstwo zabiły wartościowsze pierwiastki kultury zachodnio - chrześcijańskiej. Zwolennikiem pewnych tez Spenglera jest Anglik **Toynbee.**

Ciekawe jest zestawienie przyczyn i objawów obecnego kryzysu poszczególnych autorów. Zapatrywania są pod tym względem podzielone, przy istnieniu jednak pewnych dużych zbieżności. Podawane są następujące przyczyny kryzysu cywilizacji:

1 Dysproporcje pomiędzy postępem materialnym cywilizacji i postępem moralnym ludzkości. Zbyt szybki postęp wiedzy przyrodniczej i techniki, za którym nie nadąża bardzo powolny rozwój moralności — **Louis de Broglie.**

2. Depopulacja krajów cywilizowanych, przy równoczesnym szybkim wzroście liczebnym społeczeństw prymitywnych. Prowadzi to do dewaloryzacji potęgi krajów o dużej kulturze i utracenia przez nie kontroli nad światem. Hegemonię obejmą ludy prymitywne i w konsekwencji nastąpi obniżenie poziomu cywilizacyjnego — **Alfred Sauvy.**

3) Cywilizacje mają życie podobne do organizmów: przechodzą okres młodości, rozkwitu i ulegają rozpadowi. Działają tu konieczne prawa socjologiczne. Tezę tę powtarza za Spenglerem — **Arnold Toynbee.**

4) Brak wiary jest przyczyną dekadencji cywilizacji. Tylko silna wiara, prowadząca do heroizmu, wytwarza siły zdolne formować nowe wartości kulturalne. Zanik wiary we własne wartości kulturalne jest przyczyną kryzysu cywilizacji zachodniej — **Robert de Traz.**

5) Totalizm i serwilizm, zagłada jednostki z jednej strony, a brak sumienia politycznego i brak heroizmu z drugiej — **Dos Passos.**

6) Zanik ideałów wolności i miłości, panoszenie się brutalnego egoizmu — **Harold Nicolson.**

7) Zwycięstwo ideału dobrobytu nad ideałami godności i wolności ludzkiej. Tylko ideał dobrobytu jest realizowany za wszelką cenę przy podeptaniu ideałów godności i wolności. — **Funck-Brentano.**

8) Ideał dobrobytu przekreślił ideał postępu. Postęp istnieje o tyle tylko, o ile służy dobrobytowi materialnemu. — **Robert Spealght.**

9) Dechrystianizacja świata, zanik ideałów chrześcijańskich w życiu społecznym. — **H. C. Desroches.**

10) Kryzys cywilizacji wiąże się z kryzysem chrześcijaństwa. Kryzys chrześcijaństwa ma dwie przyczyny: a) załamanie się chrześcijańskiego życia wewnętrznego, życia z Bogiem i łaską; b) zanik zdolności wartościowania siebie i innych. — **Enrico Castelli.** (Fragment tej niezmiernie ciekawej wypowiedzi zamieszczamy poniżej w przekładzie in extenso).

11) Zanik miłości i wiary w Boga, oraz powszechna idolatria. Idolatria nowoczesna polega na czczeniu trzech bałwanów, są nimi: technika, polityka oraz różne fałszywe systemy etyczne. W imię tych bałwanów dzieli się ludzi i wychowuje we wzajemnej nienawiści. — **Aldous Huxley.**

Jaskrawym kontrastem odcina się od tych wypowiedzi głos komunisty francuskiego: **Mounin.** Odrzuca on w ogóle dyskusję na temat kryzysu cywilizacji. Istnieje tylko kryzys ustrojowy, polegający na zwyrodnieniu ustroju kapitalistycznego. Nie cywilizacja, ale panująca klasa burżuazji uległa dekadencji. Sens historii współczesnej polega na walce klasy proletariackiej o nowy ustrój, przeciwko rozpoczętej kontrofensywie kapitalizmu amerykańskiego. Gdyby kapitalizm amerykański mógł zwyciężyć, oznaczałoby to katastrofę cywilizacji, ale „wszystkie drogi prowadzą do komunizmu". Ostateczne zwycięstwo klasy robotniczej zapewni postęp cywilizacyjny.

Zobaczymy. Ale dlaczego jest kryzys duchowy? Czemu wewnętrznie wiedniemy? Zagadnienie to rozważa p. M. Winowska w znakomitym eseju p. t. Droga pokoju.

Pisze:

„Sądzę że warto by się dziś zastanowić nad czymś, co nazwałabym **fizjologią modlitwy.** Innymi słowy nad jej rolą w życiu fizycznym jednostek i społeczeństw, nad jej wpływem na rozwój kultury. Mówimy o świadomych lub podświadomych pragmatystów, więc rozważmy zagadnienie na planie utylitarnym. Czym właściwie, jest modlitwa?

Nie pytajmy narazie teologów o odpowiedź. Przyjrzyjmy się po prostu tym, co się modlą i tym, co się **nie modlą.** I wyciągnijmy pewne wnioski z tych danych empirycznych. Czy jest między nimi jakaś różnica, i jaka? Mimo rzadkości podobnych okazów niewątpliwie w kręgu naszych znajomych znajdzie się ktoś, kto z Bogiem rozmawia. Przynajmniej we własnym przekonaniu — powtarzam — abstrahuję w tej chwili nawet od problemu, czy Bóg w ogóle istnieje. Otóż ktoś, kto się modli, (a nie **klepie** pacierzy) jest przekonany, że nawiązał kontakt z Bogiem. Czy to przekonanie wywiera jakiś wpływ na jego charakter, sposób bycia, stosunek do ludzi i do rzeczywistości? Czy modlitwa posiada jakieś znaczenie kulturalne i społeczne?

Nawet powierzchowna obserwacja tych, których tradycja zwie „ludźmi modlitwy", odsłania w nich cechę, która dziś bardziej niż kiedykolwiek bije w oczy, zastanawia, a nawet zaskakuje. Ludzie ci mają i **dają pokój.** Są zrównoważeni i nie śpieszą się, choć pracują. Od pierwszego wejrzenia wyczuwa się w nich tajemniczą harmonię. Są w zgodzie ze sobą i braćmi. Sama ich obecność działa jak balsam. Mają oczy przejrzyste jak woda głęboka i najzawilsze trudności rozplątują się w ich dłoniach jakby same przez się. Na wszystko mają odpowiedź i nawet wtedy, gdy cierpią, nie skarżą się nigdy, owszem, twierdzą, jak ktoś, co nie kłamie, że są szczęśliwi.

Diagnozę można ująć tak czy inaczej, ale to pewne, że w życiu człowieka modlitwa jest czynnikiem równowagi, źródłem pokoju. W bardzo ciekawej broszurze p. t. „La priere" Dr. Carrel nazywa ją „czynnością biologiczną, wynikającą z naszej struktury, innymi słowy normalną funkcją duszy i ciała", tak konieczną, jak oddech.

Jeśli tak jest, jeżeli istotnie modlitwa odgrywa w naszym życiu funkcję organiczną, brak jej lub atrofia muszą wywoływać zaburzenia chorobowe o zasięgu nie tylko indywidualnym lecz i społecznym, muszą wpływać na kształt naszej kultury.

Powiedzmy sobie szczerze i po prostu: w olbrzymiej, przytłaczającej większości **Europa się nie modli.** Od szeregu lat zaznacza się coraz wyraźniej atrofia zmysłu religijnego, który, jak wskazuje etymologia („religare") „wiąże": ziemię z niebem, człowieka z Bogiem. Quicherat zdefiniował człowieka jako „animal religiosum", widząc w tej zdolności „nawiązywania" stosunku ze światem nadprzyrodzonym, cechującą go różnicę gatunkową. Otóż nie ulega wątpliwości, że jest to sfera życia, leżąca dziś odłogiem. Jeżeli modlitwa jest oddechem duszy, należy stwierdzić, że Europa oduczyła się oddychać."

Różne mędrki głoszą, że religia stawiająca człowieka w obliczu wieczności tym samym zmniejsza jego aktywność w porządku doczesnym.

Winowska uderza w ten kłamliwy banał, unicestwia go argumentami historycznymi.

„Badania nad początkami liturgii wykazują, że pierwsi chrześcijanie nie żałowali ni czasu, ni siebie, by najgodniej sprawować chwałbę Bożą, dzieło Boże. Modlitwa w ich życiu dzierżyła prymat absolutny. Czy cierpiała na tym praca? Nieprawdopodobnie szybki rozwój chrześcijaństwa od krańca do krańca rzymskiego imperium świadczy, że nie było ono monopolem „zaświatowych" i „nieżyciowych" jednostek. Przeciwnie impet, z jakim ewangelia zdobywała teren, był wprost proporcjonalny do żarliwości modlitwy i życia wewnętrznego apostołów. Modlitwa nie umniejszała, lecz ustokrotniała ich siły i wydajność. A gdy przyszedł zalew barbarzyńców i rzymskie imperium zaczęło trzeszczeć w swych przyciesiach, oni to, nieustraszeni, szli naprzeciw obcym przybyszom, z ewangelią i kulturą.

Jakże odbiegliśmy od poglądu pierwszych chrześcijan, których życie wewnętrzne polaryzowało się niejako między wszechmocą Bożą, daną im do dyspozycji w Chrystusie i własnym nicestwem: „Beze mnie nic uczynić nie możecie..." „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia". Wszystko i nic: oto sekret Pawła, Piotra, Jana, Grzegorza, Wojciecha i Bonifacego, których duchowe i materialne zdobycze po dziś dzień napełniają zdumieniem. Ambicja ich nie miała granic, gdyż byli bezgranicznie pokorni".

Nie możemy tego o sobie powiedzieć. Cechuje nas potworna pycha i agresywna zarozumiałość. Panującym typem jest mściwy doktryner obarczony kompleksem manii prześladowczej. Epoka mnożenia oblicza bierze nas w posiadanie.

Toteż ważnym i cennym sprawdzianem są dla nas zespoły ludzi, którzy starają się bez reszty realizować nakazy z ewangelii, żyjąc tak jak żyli pierwsi chrześcijanie w idealnej wspólnocie nie na zasadzie bierz (jedynie dziś modnej) lecz na zasadzie „daj" nie na skutek nienawiści i walki, ale z miłości, która dzielić się potrafi ostatnim kęsem chleba. Mówi się dziś czasami o „chrześcijańskim komunizmie" i określenie to jest niefortunne, gdyż poza ekonomiczną wspólnotą komunizm zawiera inne elementy. Lecz w tym ciaśniejszym etymologicznym znaczeniu można rzec, że prawdziwy komunizm istnieje tylko w klasztorach, zwłaszcza tych, gdzie własność indywidualna jest wykreślona bezwzględnie, wyrwana z korzeniem.

Artykuł p. Winowskiej zawiera dwa zagadnienia. Pierwsze dotyczy modlitwy. Wielu ludzi podświadomie utożsamia ją z odczytywaniem wybranych wyjątków z książki do nabożeństwa. Nie dla wszystkich natur metoda ta jest właściwa. Trzeba wielkiego skupienia by nasycić gotowy tekst wewnętrznym ładunkiem żarliwości własnej. Jakże często **odmawiamy** modlitwy zamiast wydobyć ze siebie maksimum tego, na co nas stać w obliczu Boga? Oczywiście w okresach oschłości wewnętrznej, w czasach opuszczenia, książka może być wielką pomocą. Na tym jednak poprzestać nie wolno. Modlitwa musi stać się znowu gwałtowną i żywiołową twórczością, czymś bliskim temperaturze „Pieśni nad pieśniami". Teresa Neumann powiedziała kiedyś, że mechaniczne odczytywanie grubych ksiąg pobożnych jest nadużywaniem cierpliwości Bożej. Bóg oczekuje od nas dowodów miłości, nie wystarcza Mu reprodukcja pamięciowych formuł. Jak najdalsi jesteśmy od chęci dyskredytowania któregokolwiek sposśród przyjętych i uświęconych rodzajów. Kościół daje nam do dyspozycji doskonałe teksty. Są tylko chrześcijanie poprzestający na bezmyślnym klepaniu pacierzy i są inni zdolni ożywić zwrot każdy swoim wewnętrznym natchnieniem. Dziś ostrzej niż kiedykolwiek odróżniać należy modlitwę od pośpiesznie zbywanej lektury.

Z chwilą gdy się zwracamy do Boga poruszone zostają moce sprzyjające inspiracji twórczej. Wszechświat cały uczestniczy wówczas w naszym wysiłku duchowym, słowo za słowem rozprasza duchowe ciemności. Uniesienie nie przychodzi szybko. Najwięksi święci czekali na nie latami. Chodzi o wytężenie całej siły woli, ona bowiem w miarę żarliwego wzrostu uniezależnia nas od modernistycznych i chwiejnych nastrojów.

Pragnęlibyśmy uczynić modlitwę dziełem sztuki czystej. Czymś w zasadzie jedynym i niepowtarzalnym. Z jednej strony nurtują nas głód wielkiej improwizacji, z drugiej hamuje wiedza o niebezpieczeństwach wynikających z tego rodzaju postawy.

A teraz druga sprawa.

Nie jesteśmy wcale przekonani o tym, jakoby wzorem nowego ustroju mogła stać się bezwłasnościowa wspólnota klasztorna. Nowoczesne encykliki papieskie zmierzają w innym kierunku. Dziś idzie raczej o całkowite uwłaszczenie mas możliwe jedynie wówczas, gdy każdy robotnik stanie się rzeczywistym akcjonariuszem i współwłaścicielem obsługiwanego przez siebie warsztatu produkcji. To co jest dobre dla zakonników, nie zawsze odpowiada zwyczajnej ludzkiej naturze.

Kościół dał dowód wielkie realizmu uwzględniając ten moment.

Doskonałym uzupełnieniem wywodów p. Winowskiej jest artykuł R. Brandstaettera zamieszczony w tym samym numerze.

Autor zdaje sobie sprawę, że na to, aby cokolwiek osiągnąć, musimy przede wszystkim odnieść zwycięstwo nad nienawiścią panoszącą

(Dokończenie na str. 10)

Przegląd amerykański

Wallace? Truman? Taft?...

O kandydatach na prezydenta St. Zjednoczonych z prasy amerykańskiej

Rok 1948, okres najsilniejszego napięcia kampanii wyborczej i ostatecznych jej wyników, rozpoczął się oświadczeniem Wallace'a na temat postawienia swojej kandydatury.

Henry Wallace jest jedynym z przypuszczalnych kandydatów na stanowisko prezydenta, który reprezentuje w polityce zagranicznej chęć pozytywnej postawy w stosunku do Rosji. Reszta kandydatów skutecznie rywalizuje na temat bardziej negatywnego stosunku do Rosji i korzystając ze zręczności aparatu agitacyjnego nie wspomina słowa „wojna", bojąc się utraty popularności. Jednocześnie wszędzie, z wyjątkiem prasy wyraźnie lewicowej, znajdujemy określenie obecnych stosunków jako „cold war" — co by można tłumaczyć „wojna na zimno".

Nie jest wysuwany jak dotąd żaden kandydat partii demokratycznej poza Trumanem. Republikanie natomiast typują senatora Taft'a skrajnie konserwatywnego, gubernatora Dewey'a i najbardziej z nich liberalnego Stassen'a. Poza tymi trzema występuje gen. Eisenhower, gen. Mac Arthur, gubernator Kalifornii Warren. Wydaje się jednak, że są to ewentualności zupełnie teoretyczne.

Henry Wallace był ministrem rolnictwa, handlu, wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

W odpowiedzi na antyrosyjską „doktrynę Trumana" przedstawił odmienny plan pomocy Europie.

„Oddałby Zagłębie Ruhry pod międzynarodową kontrolę wielkiej czwórki, żąda od Stanów Zjedn. aby zwróciły się do ONZ o fundusze dla powołania na okres 5 lat nowej organizacji w rodzaju UNRRA, która by była kierowana przez nową agendę ONZ. Fundusze powstałyby z wkładów członków i przyznawane byłyby w pierwszym rzędzie tym narodom, które najmocniej ucierpiały od agresji państw osi i jedynym kryterium pomocy byłyby zasługi i potrzeby, bez względu na rodzaj ich polityki i ustroju społecznego.

Dla zupełnie różnych przyczyn oświadczenie o wysunięciu kandydatury Wallace'a spotkało się z ujemną oceną całej prasy amerykańskiej.

Lewicowy dziennik nowojorski „PM" pisze:

„Trzecia partia nie posiada potęgi masowej i nie ma nadziei, żeby posiadała. Przeciwko niej są czynniki kierownicze, członkowie i zwolennicy AFL (Am. Feder. Pracy), przeciwko niej są członkowie CIO, przeciwko niej są związki zaw. kolejowe; stoją za nią tylko związki o mocnych wpływach komunistycznych. Nie ma warunków dla istnienia trzeciej partii, która by posiadała znaczenie."

Liberalny tygodnik „The Nation" z 10 stycznia określa

„to posunięcie jako niesłuszne z punktu widzenia strategicznego. Jeśliby Wallace uczynił poważny wysiłek, prawdopodobnie mógłby posłać do Białego Domu reakcyjnego Republikanina i usunąć kilku postępowych członków Kongresu."

W rezultacie postawienia kandydatury Wallace'a zrzekł się swego stanowiska prezes organizacji „Progressive Citisiens of America" (która popierała silnie dotychczasowe posunięcia Wallace'a) w przekonaniu, że

„głosy oddane na Wallace'a zmniejszyłyby szanse prezydenta demokratycznego, wzmagając tym samym czynniki reakcyjne, republikańskie."

Opinia prasy prawicowej określa grę Wallace'a po prostu jako grę rosyjską.

W sumie tych opinii wystąpienie Wallace'a w charakterze „trzeciej siły" należy traktować jako akt szantażu politycznego w stosunku do Demokratów.

Tak też ocenia „Newsweek" wpływ na stanowisko Trumana:

„polityczne zagadnienie obecnej sytuacji przeciąga Trumana na lewo w wysiłku utrzymania dla Demokratów robotniczych i lewicujących grup w północnych przemysłowych stanach z kluczowymi wyborczymi głosami. Jednakże kierunek na lewo powoduje przeciwstawienie się w wielu sprawach bardziej konserwatywnych demokratów z Południa."

W początku swojej prezydentury w rozmowie z Robertem Kenny zapytał go Truman, dlaczego nie ubiega się o stanowisko gubernatora. Kenny odpowiedział, że stara się tego uniknąć. Truman — nic innego całe życie nie robiłem i spójrz, gdzie teraz jestem? Kenny: Tak, ale posada, którą masz teraz to rzecz bez przyszłości (cytowane za P. M.). Wiele zmieniło się od tego czasu i w tym, że Truman przestał się starać, i w tym, że jego posada zdaje się mieć przyszłość na następne 4 lata. W każdym razie ostatnia statystyka przewidywań daje przewagę Trumanowi nad republikańskimi współzawodnikami.

Przedstawiając szanse republikańskie podaje tygodnik „United States News" przewidywania w procentach podzielonych wg. kandydatów. Statystyka opinii wzięta była ze środowiska republikańskich członków Kongresu. Wypadła tak:

„33 proc. Dewey, 17 proc. Taft, 14 proc. Eisenhower, 9 proc. Stassen, 8 proc. Mac Arthur, 5 proc. gub. Warren, 4 proc. sen. Wandenberg, inni 10 proc.

Senator Robert Taft z Ohio jest faworytem czynników kierowniczych partii republikańskiej, gubernator stanu New York Dewey ma największą szansę osiągnięcia nominacji dzięki ocenie członków partii."

Zwolennicy Dewey'a widzą w nim kandydata republikańskiego ustawionego pomiędzy skrajnie konserwatywnym Taft'em i bardziej liberalnym Stassen'em.

Thomas Dewey, z wykształcenia prawnik, z zamiłowania śpiewak, (Śpiewał w synagodze nowojorskiej nie znając hebrajskiego). Kariera polityczna prowadziła go od przewodniczenia Klubowi Młodych Republikanów w New Yorku, poprzez urząd prokuratora Stanu New York, później gubernatora tegoż Stanu. Zdobycie w 1944 możliwości współzawodnictwa z Rooseveltem, w 1946 reflektuje na stanowisko gubernatora, które zdobył dzięki największej przewadze głosów znanej w historii Stanu.

Patrząc wstecz na jego możliwości kandydatury w walce z Rooseveltem spotkać się można ze zdaniem: „To nie był po prostu wybór między Rooseveltem a Dewey'em, ale między Dewey'em i Rooseveltem w Teheranie" — oceniało lewicowe PM w czerwcu 1944.

New York Herald Tribune z 21 stycznia 1948 r. pisze:

„Dewey określił pozycję w pewnych sprawach o narodowym i międzynarodowym znaczeniu. Podtrzymywał propozycje amerykańskiej pomocy dla Grecji. Żądał wydatnego zwiększenia amerykańskiej pomocy Chinom. Występował ostro za powszechną służbą wojskową.

Jednakże w znacznej liczbie innych ważnych kwestii wewnętrznych i międzynarodowych, zacząwszy od planu Marshalla, do ratyfikacji traktatu handlowego w Genewie, i od podatków do ustawy „Taft — Hartley'a" — jego stanowisko nie zostało ujawnione."

Sądzić można, że najmocniejszym w istocie atutem Dewey'a są jego ogromne zdolności organizacyjne i administracyjne, które bez względu na poglądy w poszczególnych sprawach są cechą wzbudzającą szacunek i zaufanie wyborców.

Robert Alfonso Taft w przeciwieństwie do innych kandydatów pochodzi z rodziny o wybitnych tradycjach dyplomatycznych i politycznych. Po studiach prawniczych zajmował szereg urzędów w Stanie Ohio; w 1938 r. został senatorem. W 1944 wybrany ponownie senatorem, jednak przy ogromnej zniżce głosów. (Z 178.000 na 18.000).

Gdyby chcieć wyrazić Taft'a w jednym słowie, można by użyć określenia „człowiek — nie."

Niezmiernie charakterystyczne dla jego linii politycznej są sprzeciwy i ataki.

Atakuje stowarzyszenie kobiet z wyższym wykształceniem, komunizm, nowojorską radę CIO (najsilniejszy związek zawodowy), uspołecznienie medycyny.

„jest nieprzytomnie przeciwny obowiązkowi ubezpieczenia na wypadek choroby, co uważa za uspołecznienie medycyny." Pisze Times, styczeń 1947.

Występował przeciwko Fair Employment Practice Commission. Mówi:

„Dyskryminacje rasowe są poważnym problemem, ale nie można odpowiadać na nie siłą."

Przeciwko tezom o Zjednoczonym Świecie.

„Jeśli stracimy wolność narodową, jak odzyskamy wolność indywidualną?"

Występował zdecydowanie przeciwko wyrokom śmierci w procese norymberskim. W październiku 46 określał proces jako

„upadek sprawiedliwości, którego Amerykanie długo będą żałowali".

Skrajny izolacjonizm, który reprezentował przez wojnę, odbierał mu zdolność obserwacji i wyciągania wniosków z przemian, które dokonywały się na jego oczach. W lutym 1941 określał sytuację polityczną:

„Jest czystą fantazją przypuszczenie, że istnieje jakieś niebezpieczeństwo ataku na St. Zjedn. ze strony Japonii" i „Inwazja na Stany przez niemiecką armię jest równie fantastyczna jak byłaby inwazja na Niemcy... przez armię amerykańską".

W niedługi czas po tym niemieckie łodzie podwodne docierały pod wschodnie wybrzeża kontynentu amerykańskiego.

W zakresie polityki wewnętrznej osiągnął przeprowadzenie ustawy o pracy „Taft — Hartley'a". Korespondent organu Wallace'a „New Republic" opisuje go:

„Nietaktowny, bez poczucia humoru, niemal niezdolny do udawania, Taft jest w naszym mniemaniu także i odważny."

W Haroldzie Stassenie płynie krew niemiecka, czeska i norweska. Dla jego przyszłej kariery oznacza to niemieckie i czeskie głosy. Po studiach prawniczych i urzędzie prokuratora w 1938 został gubernatorem Stanu Minnesota, mając lat 31. W czasie wojny zajmował poważne stanowisko w marynarce. Z ramienia U. S. podpisywał w 1945 r. Kartę Atlantycką.

Harold Stassen, najbardziej liberalny z kandydatów republikańskich w 21 miesięcznej kampanii przedwyborczej

„objechał 40 stanów (z 48), wygłosił 250 mów. Osiągnął taką sławę jako mówca, (honoraria 500 — 1000 dol.), że otrzymywał przeciętnie 200 zaproszeń tygodniowo. Zarobił w 1946 r. 42.000 dolarów (niemal całość pochłonęły wydatki związane z kampanią. Wydał tej jesieni książkę." (Time).

W każdym niemal przemówieniu, artykule czy wywiadzie wyrażał 5 podstawowych tez, które tworzą całość jego politycznego credo.

1. Wiara w międzynarodową współpracę i powodzenie ONZ, związane z przekonaniami, że bomba atomowa musi dać inną odpowiedź niż wojna.

2. Przekonanie, że demokratyczny kapitalizm i komunizm są u podstaw zwalczającymi się systemami, i, że kapitalizm zwycięży.

3. Wiara w U. S. nie tylko jest najpełniejszą nadzieją demokratycznego kapitalizmu, ale naród, jeszcze nie osiągnął pełni rozkwitu produkcji przy działaniu nieskrępowanej inicjatywy.

4. Pogląd, że nie można tępić związków zawodowych, które jeśli będą odpowiedzialne — będą brały udział w rozwoju ekonomicznym kraju.

5. Nadzieja i postanowienie uczynienia partii republikańskiej bardziej liberalną.

Katolicki tygodnik „America" (24 listopad 1947) określa książkę: „Moje stanowisko":

„jako wyrażającą przekonanie, że pełne sukcesów działanie nieskrępowanego i uczciwego kapitalizmu jest kluczem do rozwiązań innych problemów rządzenia".

Wydaje się pewnym, że Stassen musi być bez porównania lepszym mówcą niż jest myślicielem.

„Time" cytuje często słyszane powiedzenie:

„Który z polityków wierzy, że Harold Stassen będzie prezydentem? Odpowiedź: Harold Stassen."

Jest coś teatralnego w wahaniach co do decyzji gen. Eisenhowera: kandydować, czy nie?

Ostatnia wypowiedź z 24 stycznia 1948 w komunikacie ambasady U. S. w Warszawie brzmi:

„Nie nadaję się, nie mógłbym przyjąć nominacji na wysokie stanowisko polityczne."

Jednakże nie trzeba zapominać, że gen. Eisenhower parokrotnie zmieniał poglądy na ten temat.

W 1943 r. powiedział „wyraźnie sprzeciwiam się określeniu „kandydat". Nie chcę, i nie będę."

W 1945: „Najwyraźniej możecie stwierdzić, że nie mam żadnych ambicji politycznych."

Wrzesień 1947 przynosi statystykę Gallupa, że 35 proc. Amerykanów chce widzieć generała ubiegającego się o prezydenturę. Teraz stwierdza: „Nie miałbym śmiałości powiedzieć, że nie będę Prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nikt mnie o to nie prosił".

„Newsweek" zamieścił list Republikańskiego kandydata z r. 1936 Alfa Landona, który przedstawia atuty gen. Eisenhowera w następującym porządku:

1) Stan Kansas w całości będzie za nim.

2) Zdumiewającym zjawiskiem jest fakt, że 35 proc. Amerykanów chce, aby Eisenhower ubiegał się o prezydenturę.

3) Mimo, że nigdy nie zajmował stanowiska politycznego, gen. Eisenhower nie zaszedłby tak wysoko w armii bez posiadania trzech przymiotów, które musi mieć prezydent: a) zdolności kierownicze, b) zdolności administracyjne i c) wyraźny zmysł polityczny. Człowiek nie dowodzi armią składającą się z dwunastu narodowości na tak wielkim teatrze wojny bez zdolności kierowniczych.

Człowiek nie organizuje najpotężniejszego przedsięwzięcia w historii wojskowej — inwazji w Normandii — bez zdolności administracyjnych najwyższej klasy.

Bez silnego zmysłu politycznego i umiejętności grania z ludźmi nie mógłby prowadzić negocjacji z takimi wielkościami politycznymi jak Roosevelt, Churchill, Stalin i de Gaulle.

W tej chwili generał jest daleko od nominacji. Wiele stoi mu na drodze. Żąda się wielu informacji o kandydacie. Jak zapatruje się na to, a jak na to? Czy jego sympatie są lewicowe, centrowe czy prawicowe. Jak zapatruje się na organizację partii. I, wreszcie, czy kandydat wygra?

Niewątpliwie objęcie prezydentury uniwersytetu Columbia urealniło jego kandydaturę.

W każdym razie gen. Eisenhower ma do spełnienia zadanie. Time określa „jego zadanie na czas pokoju to sprzedać plan narodowi i kongresowi. Jakiż to plan?

„Potrzeba minimum pełnowartościowej przygotowanej armii powietrznej, którego nie można zredukować, składające się z 70 grup (ok. 8.000 samolotów), zdolnych przenieść teren wojny na obszar zajęty przez wroga, zniszczyć jego miasta i przemysł, odciąć wolno poruszające się armie lądowe. Poza tym jedenaście dywizji (132.000) w pełni uzbrojonych do walki, zdolne natychmiast do uchwycenia baz wypadowych i rozpoczęcie ataku lądowego. Całość armii i lotnictwa 1.070.000 ludzi, wspierana przez 500.000 marynarki. Żeby wytrzymać pierwszy wstrząs wojny i zmontować siły do osiągnięcia pełnej potęgi potrzebne są rezerwy przemysłowe i ludzkie, które można zmobilizować w całości 131 grup powietrznych i 56 dywizji w dwu latach. Aby utrzymać siłę przemysłu lotniczego w gotowości do wykonania swego zadania, oznacza to roczną produkcję 5.700 samolotów."

Eisenhower jest jednym z najpoważniejszych propagatorów ustawy o powszechnej służbie wojskowej. Psychiczne przygotowanie narodu do tego projektu wymaga ogromnego nakładu inicjatywy, woli i aparatu propagandowego.

Biegunowo przeciwne stanowisko zajmuje w tej sprawie Wallace.

W „New Republik" tygodniowym piśmie przez siebie redagowanym pisze: „Liberalnie myślący Amerykanie, którzy miłują pokój, muszą organizować siły dla skutecznej opozycji przeciwko planowaniu powszechnej służby wojskowej" i dalej: „Gdyby ustawa przeszła, zabierze przynajmniej rok życia każdemu Amerykaninowi, przy dojściu do lat 18. Ustawa ma czynne poparcie Prezydenta, gubernatora Dewey'a i Warrena, Williama Hearsta i Legionu Amerykańskiego — żeby wymienić tylko kilku. Ustawa jest bardziej niebezpieczna dla demokracji amerykańskiej niż Unamerican Activity Committee ze wszystkimi zakusami na naszą wolność amerykańską."

O najpopularniejszym człowieku Ameryki t. j. gen. Mac Arthurze mówi się tylko teoretycznie jako o kandydacie na prezydenta. Wykonywa on gigantyczne w skali zadanie, jakim jest organizowanie Japonii, jako siły nacisku na Rosję.

Gen. Mac Arthur jest jedyną postacią w U. S., która nie znajduje przeciwników lub niechętnych.

Ogromną sensację i liczne komentarze wywołało oświadczenie, które w ustach czołowego polityka i generała było zupełnie nieoczekiwane.

„Zagadnienia ekonomiczne, siły, polityki, kolektywizmu — są to tylko powierzchowne trudności, które przychodzą i odchodzą. Pod nimi i u podstaw większości naszych trudności jest brak wiary religijnej i im szybciej to ocenimy, tym szybciej osiągniemy pokój i ład."

„Catholic World, aug. 1947."

W kraju...

POWRÓT DELEGACJI Z MOSKWY

24.I Zeszłoroczna wizyta Premiera Cyrankiewicza w Moskwie, wraziła się głęboko w pamięć całego społeczeństwa polskiego. Przyzwyczailiśmy się poniekąd wiązać z każdorazową wizytą członków Rządu w stolicy Związku Radzieckiego oczekiwanie na doniosłe wydarzenia w naszym życiu politycznym i gospodarczym. Nie inaczej było i tym razem. Powrotu Premiera, Wicepremiera Gomułki i Min. Minca oczekiwaliśmy z zapartym tchem. Wg. ogłoszonego komunikatu oficjalnego 26 stycznia została podpisana między obu Rządami umowa o wzajemnych dostawach towarowych na okres 1948 — 1952. Otrzymać mamy rudy żelazne, chromowe i manganowe, produkty naftowe, bawełnę, aluminium, azbest, samochody, traktory i inne towary. Wzamian za nie będziemy dostarczać Związkowi Radzieckiemu: węgiel koks, wyroby włókiennicze, cukier, cynk, wyroby stalowe, tabor kolejowy, cement e.t.c. Prócz umowy powyższej podpisano dodatkową umowę o dostawach dla Polski na warunkach kredytowych urządzeń przemysłowych, na pokrycie których to dostaw udzielono nam 450 milionów dolarów średnioterminowego kredytu. Obiecano nam również dostawę dodatkowych 200 tys. tonn zboża w ciągu najbliższych trzech miesięcy, co łącznie z poprzednimi dostawami zboża wyniesie w roku bieżącym pół miliona tonn. O mających również miejsce rozmowach ściśle politycznych urzędowy komunikat nie wspomina.

ROŻNICA ZDAŃ W SEJMIE

Od chwili gdy PSL przestało być opozycją, jedynie wystąpienia Klubu Pos. Katolicko - Społecznego, stojącego na stanowisku opozycji rzeczowej przyczyniły się do ożywienia dyskusji sejmowej. Ustawa o obowiązku społecznego oszczędzania, której projekt był ostatnio przedmiotem obrad parlamentu polskiego stała się powodem zaistnienia poważnej różnicy zdań, r ó w n i e ż w łonie stronnictw zblokowanych. Zostały wniesione poprawki z ramienia Klubu Posłów Stronnictwa Demokratycznego i Stronnictwa Pracy. Zmierzały one do zmniejszenia skali nierównomiernych obciążeń, dotykających w głównej mierze prywatny handel, rzemiosło, przemysł i usługi. W głosowaniu p r z e c i w wzmiankowanym poprawkom wypowiedzieli się socjaliści PPR, PSL, SL. Za poprawkami głosowało Stronnictwo Demokratyczne, Stronnictwo Pracy, Klub Poselski Katolicko-Społeczny oraz bezpartyjni: pos. Dobosz (przedstawiciel rzemiosła) i b. wicepremier pos. Kwiatkowski. W rezultacie ustawa przeszła w brzmieniu proponowanym przez Komisje Skarbowo-Budżetową. Znamienny jednak był fakt głosowania PSL wespół z partiami marksistowskimi.

NACZELNA RADA MŁODZIEŻY

Niedawno w tej tu rubryce pisaliśmy o projekcie powołania do życia powszechnej organizacji młodzieżowej pod nazwą „Służba Polsce".

Podczas ostatniej sesji Sejmu Ustawodawczego posłowie mieli możność zapoznania się z treścią projektu odnośnej ustawy. Projekt został odesłany do Komisji Oświatowej. Przewiduje on m. in. utworzenie Naczelnej Rady Młodzieży, w skład której weszliby przedstawiciele TUR-u, ZWM, Wici, Z. M. D., Zw. Sam. Chłop. i KCZZ. Zagadnieniem tym zajmiemy się obszerniej w jednym z najbliższych numerów.

30. I. 48

K. G. Chesterton

SAMOBÓJ

Powiedzenia uliczne są nie tylko mocne, ale i bystre, gdyż figura mowy często może wyrazić subtelności trudne do określenia. I nie ma subtelniej wyrażonej prawdy, jak w codziennym powiedzeniu o człowieku, który „ma serce na właściwym miejscu". Zawiera ono w sobie ideę normalnej proporcji i pewna funkcja nie tylko istnieje, ale jeszcze jest właściwie ułożona w stosunku do innych funkcyj. Istotnie, przecząca forma tego zdania może ze szczególną dokładnością opisać chorobliwe miłosierdzie i zepsutą czułość najbardziej reprezentacyjnych współczesnych. Gdybym np. miał rzetelnie opisać charakter P. Bernarda Shaw, nie mógłbym się dokładniej wyrazić, że ma on heroicznie wielkie i szlachetne serce, lecz nie mógłbym powiedzieć, że ma on serce na właściwym miejscu. A to samo dotyczy typowego społeczeństwa naszych czasów.

Nowoczesny świat nie jest zły, w pewien sposób nowoczesny świat jest zbyt dobry. Pełny on jest dzikich zmarnowanych cnót. Gdy jakiś ruch religijny zostaje rozbity wtedy nie tylko występki zostają puszczone samopas. Występki rzeczywiście wtedy chodzą luzem, błąkają się wszędzie i robią szkody. Ale wtedy również i cnoty są puszczone samopas i błąkają się bardziej dziko i czynią o wiele straszliwsze spustoszenia.

Nowoczesny świat pełny jest dawnych chrześcijańskich cnót, które oszalały. A oszalały dlatego, że zostały odłączone od innych i błąkają się samotnie. I tak niektórzy ludzie nauki starają się o prawdę, a prawda ich jest bezlitosna. Niektórzy humanitarni starają się tylko o litość, a litość ich (przykro mi to mówić) jest nieprawdziwa. Np. P. Blatchford atakuje chrześcijaństwo, ponieważ zwariował na punkcie jednej chrześcijańskiej cnoty: mistycznej i prawie irracjonalnej cnoty miłosierdzia. Wpadł on na dziwaczny pomysł, że uczyni łatwiejszym odpuszczenie grzechów, jeśli powie, że nie ma w ogóle grzechów do odpuszczania. P. Blachtford jest nie tylko dawnym chrześcijaninem, jest on jedynym dawnym chrześcijaninem, którego powinny pożreć lwy. Bo w jego wypadku słuszne jest pogańskie oskarżenie: jego miłosierdzie oznacza tylko anarchię. Jest on naprawdę wrogiem rodzaju ludzkiego, bo jest aż tak ludzki. Jako inną krańcowość możemy wziąć cierpliwego realistę, który zabił w sobie umyślnie wszelką ludzką przyjemność, płynącą z szczęśliwych baśni lub ukojenia serca. Torquemado torturował fizycznie ludzi z powodu prawdy moralnej. Zola torturował ludzi moralnie dla prawdy fizycznej. Ale w czasach Torquemady był jednak system, który pozwalał — w pewnym zakresie — na wzajemny pocałunek między pokojem i praworządnością. Teraz nawet sobie się nie kłaniają. Lecz jeszcze bardziej wyrazisty niż w wypadkach prawdy i litości przypadek, można znaleźć, w godnym uwagi przemieszczeniu pokory.

Obchodzi nas tu tylko jedna strona pokory. Była to cnota, pomyślana jako hamulec arogancji i zachłanności ludzkiej. Albowiem potrzeby człowieka nowo wymyślone zawsze przewyższały jego miłosierdzie. Jego możność radowania się zabijała połowę jego radości. Pragnąc przyjemności gubił on główną przyjemność; gdyż główną przyjemnością jest zdziwienie. Stąd jest rzeczą oczywistą, że jeśli człowiek chce mieć wielki świat, to musi samego siebie uczynić małym. Nawet wzniosłe wizje, wyniosłe miasta i strzeliste szczyty są twórcami pokory. Olbrzymy, którzy depczą lasy jak trawę są twórcami pokory. Wieże, tonące szczytami wśród gwiazd, są tworami pokory. Gdyż wieże są wieżami dopiero wtedy, gdy musimy na nie patrzeć do góry; Olbrzymy zaś są olbrzymami dopiero wtedy, gdy są więksi od nas. Cała ta olbrzymia wyobraźnia, która jest, być może, najmocniejszą z ludzkich przyjemności, jest w swej podstawie całkowicie pokorna. Niemożliwe, bez pokory, cieszyć się czymkolwiek — nawet pychą.

Lecz dziś cierpimy bardzo z powodu pokory niewłaściwie umieszczonej. Skromność została przesunięta z organu ambicji na organ przekonania, co nigdy nikomu do głowy przed tym by nie przyszło. Człowiek mógł wątpić o samym sobie, ale nigdy o prawdzie. I ten to porządek zupełnie odwrócono. Dzisiaj tym, co człowiek uznaje, jest to, czego akurat nie powinien uznawać — on sam. A tym o czym wątpi, jest właśnie to, o czym wątpić nie powinien — Boski rozum. Huxby głosił, że należy uczyć się pokory od Natury. Ale nowoczesny sceptyk jest tak pokorny, że wątpi o tym, czy w ogóle może się czegoś nauczyć. Tak, byłby to błąd, gdybyśmy pospiesznie orzekli, że nasze czasy nie mają swojej typowej pokory: mają i to taką, że w praktyce jest bardziej zabójczą niż największa czołobitność ascety. Dawna pokora była ostrogą, nie pozwalającą człowiekowi zatrzymać się, nie gwoździem w bucie, który przeszkadza mu chodzić. Dawna bowiem pokora kazała człowiekowi wątpić o skuteczności wysiłków, co pobudzało go do usilniejszej pracy. Lecz nowa pokora każe człowiekowi wątpić o jego celach, co każe mu zaprzestać jakichkolwiek wysiłków.

Na każdym rogu ulicy możemy spotkać człowieka, który składa szalone i bluźniercze oświadczenie, że może się mylić. Każdego dnia napotykamy na kogoś, kto głosi, że, oczywiście, pogląd jego może być niesłuszny. A przecie, jego pogląd musi być słuszny, w przeciwnym razie nie jest jego poglądem. Jesteśmy na drodze do wytworzenia rasy ludzi, umysłowo zbyt skromnych, by uwierzyć w tabliczkę mnożenia. Jesteśmy w niebezpieczeństwie ujrzenia filozofów, wątpiących o prawie ciężkości, które może być tylko ich własnym przywidzeniem. Niedowiarkowie dawnych czasów byli zbyt pyszni, by się dać przekonać, dzisiejsi są na to zbyt pokorni. Cisi posiadają ziemię, lecz nowocześni sceptycy są zbyt cisi na to, by dochodzić swego dziedzictwa. Ta właśnie intelektualna bezradność jest naszym drugim problemem.

Ostatni rozdział dotyczył tylko faktu wziętego z obserwacji, że niebezpieczeństwo choroby grozi człowiekowi raczej ze strony jego rozumu niż wyobraźni. Stwierdzenie to nie ma na celu atakowania powagi rozumu, ale przeciwnie, jest ostatnią próbą jej obrony. Bo powaga ta potrzebuje obrony. Cały nowoczesny świat jest w stanie wojny z rozumem; wieża ta już się chwieje.

Często się mówi, że mędrcy nie mogą rozwiązać zagadki religii. Ale cały kłopot z mędrcami polega nie na tym, że nie mogą oni znaleźć rozwiązania lecz na tym, że nie mogą oni znaleźć Zagadki. Są oni jak te dzieci tak ogłupiałe, że nie widzą nic paradoksalnego w zabawnym twierdzeniu, że drzwi nie są drzwiami. Nowocześni swobodni myśliciele mówią na przykład o autorytecie w religii nie tylko w taki sposób, jakby nie miał on żadnych podstaw, ale tak, jakby on nigdy nie miał podstaw. Pomijając już to, że nie widzą oni jego podstawy filozoficznej, nie mogą oni zobaczyć nawet jego przyczyny historycznej. Niewątpliwie religijny autorytet bywał często uciążliwy i krzywdzący, tak samo jak każdy system formalno - prawny był nieczuły i pełen okrutnej apatii. Jest rzeczą słuszną atakować policję, ba, jest to rzecz chwalebna. Ale nowocześni krytycy religijnego autorytetu są podobni do ludzi, którzy atakują policję nic nie wiedząc o włamywaczach. Istnieje bowiem wielkie i groźne niebezpieczeństwo dla umysłu ludzkiego, tak realne jak możliwość włamania. I przeciw niemu to wzniósł się jak bariera, słusznie lub niesłusznie, autorytet religijny. I przeciw niemu musi się wznieść jakaś bariera, jeśli nasza rasa ma uniknąć zniszczenia. Niebezpieczeństwo polega na tym że ludzki umysł może się dowolnie sam zniszczyć. Podobnie jak jedno pokolenie może nie dopuścić do istnienia drugiego pokolenia przez wstąpienie wszystkich do klasztoru lub rzucenie się wszystkich do morza, tak samo grupa myślicieli może w pewnym stopniu nie dopuścić do dalszego myślenia przez pouczanie młodszego pokolenia, że myślenie ludzkie nie ma żadnej wartości. Jest rzeczą jałową mówić zawsze o wyborze między rozumem i wiarą. Sam rozum jest sprawą wiary. Jest aktem wiary, że nasze myśli mają jakikolwiek związek z rzeczywistością. Jeśli jesteś tylko sceptykiem, to musisz wcześniej czy później, zadać sobie pytanie: „Dlaczego cokolwiek ma być słuszne, nawet obserwacja i dedukcja? Dlaczego dobra logika nie ma być tak samo błędna jak zła logika? Przecież obie logiki są tylko ruchami w mózgu oszołomionej małpy!" Młody sceptyk powiada: „Mam prawo myśleć za siebie". Ale starszy sceptyk, zupełny sceptyk mówi: „Ja nie mam prawa myśleć za siebie, nie mam w ogóle prawa myśleć". Istnieje myśl, która hamuje myślenie.

I jest to jedyna myśl, którą powinno się zahamować. Jest to ostateczne zło, przeciw któremu wymierzono wszystkie religijne autorytety. Pojawia się ono tylko przy końcu dekadenckich epok, jak nasza; już P. H. S. Wells podniósł jego zgubną flagę, napisał on delikatne dziełko o sceptycyzmie pod tytułem „Wątpliwości o narzędziu". Kwestionuje on w nim sam umysł i usiłuje usuwać wszelką rzeczywistość ze wszystkich swych twierdzeń przeszłych, obecnych i przyszłych. I przeciw tej to ostatecznej zgubie sformowano i skierowano w religii systemy militarne. Wierzenia i krucjaty, hierarchie; okropne prześladowania organizowano nie poto, jak twierdzą ignoranci, żeby zgnieść rozum. Organizowano je właśnie dla trudnej obrony rozumu. Jakim ślepym instynktem człowiek rozumiał, że jeśli cokolwiek będzie kwestionowane, to najpierw może być kwestionowany rozum. Władza księży odpuszczania grzechów, władza papieży określania władzy, a nawet władza inkwizytorów przerażania — wszystko to były ciemne środki obrony wzniesione wokół jednej władzy centralnej, najbardziej niedowiedzionej, najbardziej nadnaturalnej ze wszystkich — ludzkiej władzy myślenia. My wiemy teraz, że to jest tak, i nie mamy wymówki, że nie wiemy o tym. Bo możemy słyszeć sceptycyzm jak łamie obręcze dawnych władz i w tym samym czasie możemy widzieć rozum, jak chwieje się na swym tronie. Jak długo trwała religia tak długo trwał rozum. Bo jedno i drugie należy do tego samego pierwotnego autorytatywnego rodzaju. Oboje są metodami dowodzenia, których nie można dowieść. I w akcie niszczenia idei Boskiego autorytetu zniszczyliśmy też w znacznym stopniu ideę tego ludzkiego autorytetu, przez który jesteśmy ludźmi. Długim i uporczywym wysiłkiem usiłowaliśmy strącić mitrę z kapłana i wraz z nią strąciliśmy również jego głowę. Aby powyższym twierdzeniem nie narzucono zbytniej dowolności, będzie może pożądanym, choć nudnym, przebiec szybko główne, nowoczesne sposoby myślenia, które hamują w efekcie samo myślenie. Taki skutek pociąga za sobą materializm i pogląd, że wszystko jest osobistym złudzeniem. Bo jeśli umysł jest mechaniczny, to myśl nie może pobudzać do niczego, a jeśli wszechświat nie jest nierzeczywisty, to nie ma co o nim myśleć. Lecz w tych wypadkach skutek nie jest bezpośredni i jest wątpliwy. Lecz w niektórych wypadkach skutek jest bezpośredni i jasny; mianowicie w wypadku tego, co ogólnie nazywamy ewolucją. Ewolucja jest dobrym przykładem tej nowoczesnej umysłowości, która jeśli niszczy, to najpierw samą siebie. Ewolucja jest albo niewinnym naukowym opisem jak pewne ziemskie stworzenia pojawiły się; albo jeśli jest czymś więcej, to właśnie atakiem na samą myśl. Jeśli ewolucja coś niszczy, to nie religię, ale racjonalizm. Jeśli ewolucja oznacza po prostu, że pozytywna rzecz, zwana małpą, przemienia się powoli w pozytywną rzecz zwaną człowiekiem, to nie dotyka ona wcale nawet najwrażliwszego prawowiernego; bo osobowy Bóg mógł stwarzać rzeczy równie dobrze powoli jak szybko, szczególnie, jeśli, jak w wypadku Boga chrześcijańskiego, jest On poza czasem. Lecz jeśli ewolucja oznacza coś więcej, to oznacza ona, że nie ma takiej rzeczy jak małpa, która się zmienia, ani takiej rzeczy jak człowiek, w którego się zmienia. Oznacza ona, że nie ma takiej rzeczy jak rzecz. W najlepszym wypadku jest tylko jedna rzecz, a mianowicie strumień wszystkiego i niczego. Nie jest to atak na wiarę, ale na rozum. Nie można myśleć, jeśli nie ma rzeczy, o których by można myśleć. Nie możesz myśleć jeśli nie jesteś oddzielony od przedmiotu myśli. Kartezjusz powiedział „myślę a więc jestem". Filozof ewolucjonista odwraca ten aforyzm w sensie przeczącym. Twierdzi on: „nie jestem a więc nie mogę myśleć".

Jest jeszcze atak na myśl z odwrotnej strony. Ostatnio prowadzi go H. S. Wells, który twierdzi, że każda oddzielna rzecz jest „jedyna" i że w ogóle nie ma żadnych kategorii. Jest to pogląd również destrukcyjny.

Myślenie oznacza wiązanie rzeczy i ustaje ono, gdy nie może ich powiązać. Należy stanowczo powiedzieć, że ten sceptycyzm zakazujący myślenia zakazuje też koniecznie mowy; człowiek nie może ust otworzyć, by mu nie zaprzeczyć. I tak, gdy Wells mówi: (jak to gdzieś uczynił) że „wszystkie krzesła są zupełnie równe" to popełnia on tu nie tylko omwłkę, ale sprzeczność w terminach. Gdyby

STWO MYSLI

wszystkie krzesła były całkowicie różne, to nie można by ich nazwać „wszystkimi krzesłami". Pokrewna powyższej jest fałszywa teoria postępu, która utrzymuje, że ludzie zmieniają próby zamiast spróbować je przebyć. Słyszymy często na przykład powiedzenie, że „Co jest słuszne w jednym wieku jest niesłuszne w innym". Można się na to zgodzić, jeśli to oznacza, że istnieje stały cel i że pewne metody są skuteczne w pewnych okresach, a zawodne w innych. Jeśli np. kobiety pragną być eleganckie, to może być, że w pewnych czasach mogą się uszlachetniać przez otyłość, w innych zaś przez odchudzenie. Lecz nie można powiedzieć, że mogą się one uszlachetniać, jeśli przestaną pragnąć być eleganckiemi, a zaczną pragnąć być podłużnymi. Jeśli wzór się zmienia, to jak może nastąpić ulepszenie, które w sobie zawiera? Nietsche wygłosił niedorzeczną ideę, że ludzie kiedyś uważali za dobre to, co my dziś uważamy za złe, gdyby tak było to nie moglibyśmy mówić, że ich przewyższamy, lub że im nie dorównywamy. Jak można dopędzić Jana, skoro się idzie w innym kierunku? Nie można rozważać, czy jeden naród bardziej postąpił w nędzy, niż drugi w dobrobycie. Podobnie można by rozważać czy Milton był bardziej purytański, niż świnia jest tłustą. Prawda, że człowiek: (niemądry człowiek), może sobie zmieniać ideał. Ale jako ideał sama zmiana staje się niezmienna. Jeśli czciciel zmiany pragnie ocenić swój własny postęp, musi być ściśle wierny ideałowi zmiany; nie może on sobie pozwolić na żarty z ideałem monotonii. Sam postęp nie może postępować. Wszelako głównym punktem tu jest to, że idea podstawowej zmienności w typie jest jedną z rzeczy, które wprost uniemożliwiają myślenie o przeszłości lub przyszłości. Teoria zupełnej zmienności typów w ludzkiej historii pozbawia nas nie tylko przyjemności czczenia naszych ojców, pozbawia nas ona również bardziej nowoczesnej i arystokratycznej przyjemności pogardzania nimi. Ten przegląd myśli niszczących siły naszych czasów nie byłby zupełny bez uwzględnienia pragmatyzmu, bo choć zawsze zwykłem bronić metody pragmatycznej, jako tymczasowego przewodnika do prawdy, to jednak istnieje pewne jej krańcowe zastosowanie, które zawiera w sobie brak jakiejkolwiek prawdy.

Pogląd mój tak pokrótce mogę wyłożyć. Zgadzam się z pragmatystami, że jawna objektywna prawda nie jest wszystkim, że istnieje autorytatywna potrzeba wierzyć w rzeczy, które są potrzebne umysłowi ludzkiemu. Lecz twierdzę, że jedną z tych potrzebnych rzeczy jest właśnie wiara w objektywną prawdę. Pragmatysta każe człowiekowi myśleć o tym, o czym musi myśleć, ale nigdy o Absolucie. Ale właśnie jedną z rzeczy, o których on musi myśleć, jest Absolut. Zaprawdę ta filozofia jest rodzajem werbalnego paradoksu. Treścią pragmatyzmu są ludzkie potrzeby; a jedną z pierwszych ludzkich potrzeb jest, aby człowiek był czymś więcej, niż pragmatystą. Krańcowy pragmatyzm jest równie nieludzki jak determinizm, którego tak potężnie atakuje. Determinista, (który, oddajmy mu sprawiedliwość, nie rości sobie praw do tego, by być ludzką istotą) tworzy nonsens z ludzkiego sensu aktualnego wyboru. Pragmatysta głoszący, że jest szczególnie ludzki, czyni nonsensem ludzki sens aktualnego faktu. Jeśli podsumujemy nasz spór, to możemy powiedzieć w tym miejscu, że najbardziej charakterystyczne aktualne światopoglądy, posiadają znamiona nie tylko manii, ale manii samobójczej. Sam wątpiący uderzył głową w granice ludzkiej myśli i rozbił je. I to właśnie czyni jałowymi przestrogi prawowiernych i przechwałki postępowych z powodu niebezpieczeństwa młodzieńczości wolnej myśli. To na co my patrzymy, nie jest młodzieńczym okresem wolnej myśli, jest to starczość, ostateczny rozkład wolnej myśli. Próżno biskupi i pobożne wielkości rozważają, jakie straszne rzeczy mogą się zdarzyć, jeśli dziki sceptycyzm bardziej się rozwinie. On już się rozwinął. Próżno też wymowni bezbożnicy opowiadają o wielkich prawdach, które się objawiają, gdy ujrzymy początek wolnej myśli. Widzieliśmy jej koniec. Nie ma już ona o czym wątpić, bo zwątpiła o samej sobie. Już nie można pragnąć dzikszej wizji nad miasto, w którym ludzie się pytają samych siebie, czy są samymi sobą. Nie można sobie wyobrazić bardziej sceptycznego świata nad ten, w którym ludzie wątpią, czy jakiś świat istnieje. Wolna myśl szybciej i pewniej doszłaby do bankructwa, gdyby nie była trochę hamowana przez stosowanie nieuzasadnionego prawa przeciw bluźnierstwu i przez niedorzeczny pogląd, że nowoczesna Anglia jest chrześcijańska. W każdym jednak razie doszłaby ona do bankructwa. Wojujący bezbożnicy są dotąd jeszcze prześladowani niesłusznie; ale raczej dlatego, że stanowią, nie młodą mniejszość. Wolna myśl wyczerpała własną wolność. Zmęczona jest własnym powodzeniem. Jeśli jakiś poważny wolnomyśliciel wita dziś filozoficzną wolność jak jutrzenkę, to podobny jest w tym do człowieka u Marka Twaina, który odział się w koc, by zobaczyć wschód słońca, a trafił na zachód. Jeśli jakiś przerażony wikary dotąd drży na myśl, że strasz na ciemność wolnej myśli może ogarnąć świat, odpowiemy mu górnymi, mocnymi słowami Belloc'a: „Proszę Cię, nie niepokój się wzrostem sił, które są już w rozkładzie. Omyliłeś się co do nocnej godziny, to już poranek". Nie mamy już więcej pytań do stawiania. Szukaliśmy wątpliwości w najciemniejszych zakamarkach i na najdzikszych szczytach. Wyszukaliśmy już wszystkie pytania, jakie tylko można znaleźć. Już najwyższy czas, byśmy przestali rozglądać się za pytaniami, a zaczęli wreszcie szukać odpowiedzi. Lecz muszę dodać jeszcze jedno słowo.

No początku tego szkicu rzekłem, że umysłową ruinę sprowadza nam dziki rozum, nie dzika wyobraźnia. Człowiek nie warjuje przez to, że postawi posąg na milę wysoki, ale może zwarjować, jeśli o nim myśli w calach kwadratowych. Obecnie jedna szkoła myślicieli dostrzegła to i wykorzystała, by wejść na drogę odnowienia pogańskiego zdrowia świata. Widzi on, że rozum niszczy; lecz mówi, Wola tworzy. Ostateczna powaga, twierdzi, tkwi w woli, nie w rozumie. Ważne jest nie to, dlaczego człowiek pragnie jakiejś rzeczy, lecz to że jej pragnie. Nie mam tu miejsca na to, by badać lub wyjaśniać tę filozofię Woli. Wyszła ona przypuszczam z Nitschego, który ogłosił coś, co się nazywa egoizmem. Było to rzeczywiście dość prosto pomyślane, bo Nitsche przeczył egoizmowi przez głoszenie go. Głosić coś jest to odrzucić. Najpierw egoista nazywa życie wojną bez miłosierdzia a po tym zadaje sobie największy możliwy trud, by wrogów swych wyćwiczyć w wojnie. Nauczanie egoizmu jest to praktykowanie altruizmu. Ale jakkolwiek to się zaczęło pogląd ten jest dość przyjęty w bieżącej literaturze. Główną bronią tych myślicieli jest to, że nie są oni myślicielami, są oni wyrobnikami.

Mówią oni, że sam wybór jest boską rzeczą. Tak Bernard Shaw zaatakował dawny pogląd, że ludzkie uczynki winny być sądzone na podstawie przyjętej miary pragnienia szczęścia. Twierdzi on, że człowiek działa nie dla osiągnięcia szczęścia lecz z własnej woli. Nie mówi on „powidła mnie uszczęśliwią" ale „ja chcę powideł". A inni wtórują mu z jeszcze większym zapałem. Jan Dawidson, godny uwagi poeta, tak namiętnie tym się przejął, że aż zaczął pisać prozą. Ogłasza on krótką sztukę z kilkoma długimi przed mowami. Jest to dość naturalne u Shaw, bo wszystkie jego sztuki mają przedmowy; Shaw (podejrzewam) jest jedynym na świecie człowiekiem, który nie stworzył żadnego wiersza. Ale skoro Dawidson (który może tworzyć doskonałą poezję) pisze zamiast wierszy elaboraty metafizyczne w obronie doktryny woli, to dowodzi to, że ta doktryna opanowała ludzi. Nawet H. G. Wells przemówił na pół jej językiem twierdząc, że można podchodzić do czynów nie jak myśliciel, lecz jak artysta mówiąc „czuję, że ta krzywa jest dobra" albo „ta linia pójdzie tak". Wszyscy są podnieceni i słusznie. Spodziewają się bowiem, że ta nauka o boskiej powadze woli pozwoli im wyłamać się z fatalnej fortecy racjonalizmu. Myślę, że uda im się umknąć. Ale to się nie uda. Ta czysta pochwała chcenia kończy się tym samym załamaniem i pustką, co przyjęcie logiki. Jak zupełna wolna myśl, zawiera w sobie zwątpienie o samej myśli, tak samo dokładnie przyjęcie „chcenia" paraliżuje wolę. Bernard Shaw nie dostrzegł rzeczywistej różnicy między dawnym utylitarnym wzorem przyjemności (niezgrabnym oczywiście i łatwym do przekręcenia), a tym który on sam proponuje. Rzeczywista różnica między wzorcem szczęścia a wzorcem woli polega po prostu na tym, że pierwszy jest wzorcem, a drugi nim nie jest. Można dyskutować nad tym, czy uczynek ludzki wskoczenia na skałę miał na celu szczęście; nie można zaś dyskutować czy pochodził on od woli. Z pewnością od woli. Można chwalić uczynek dlatego, że przyniósł on przyjemność, lub trud odkrycia prawdy, lub przyczynił się do zbawienia duszy. Lecz nie można chwalić uczynku za to tylko, że okazuje on wolę; bo czyniąc tak, stwierdzamy tylko, że jest to uczynek. Przez samą pochwałę woli nie można wybrać drogi lepszej, niż każda inna. A właśnie wybór drogi lepszej, niż każda inna jest prawdziwym określeniem woli. Cześć oddana woli jest zaprzeczeniem woli. Podziw dla czystego wyboru jest wstrzymaniem się od wyboru. Jeśli Bernard Shaw przychodzi do mnie i mówi „chcesz czegoś", to jest to samo jakby powiedział „nie wiem, czego chcesz" i to samo jakby powiedział „ja sam nic tu nie chcę". Nie można podziwiać woli w ogólności, bo istota woli polega na jej szczegółowości. Wspaniały anarchista jak J. Dawidson gniewa się na zwykłą moralność i dlatego wzywa woli — woli czegoś — chce on tylko by ludzkość chciała czegoś.

Ależ ludzkość chce czegoś. Zazwyczaj chce ona moralności.

Buntuje się on przeciw prawu i mówi nam, żebyśmy chcieli czegoś. Ale i myśmy chcieli czegoś. Myśmy chcieli prawa, przeciw któremu on się buntuje. Wszyscy czciciele woli od Nitschego do Dawidsona są zupełnie pozbawieni chcenia. Nie mogą oni chcieć, a z trudem mogą czegoś pragnąć. A jeśli kto chce na to dowodu to łatwo go można znaleźć. Znajdziemy go w fakcie, że mówią oni o woli, jako o czymś co wyłamuje się, wybucha. Tymczasem jest zupełnie przeciwnie — każdy akt woli jest aktem samo-ograniczenia. Pragnąć działać, to pragnąć ograniczenia. W tym znaczeniu każdy uczynek jest aktem ofiary z siebie. Jeśli się coś wybiera, to się odczuwa wszystko inne. Zamęt, jaki ludzie z tej szkoły stawiają zwykle aktowi małżeństwa jest istotnym zarzutem przeciw wszystkim aktom. Każdy uczynek jest nieodwołalnym wyborem i wykluczeniem. Tak, jak żeniąc się z jedną kobietą, odrzuca się wszystkie inne, podobnie obierając jedną drogę postępowania, odrzuca się wszystkie inne drogi. Jeśli zostaniesz królem angielskim musisz się wyrzec tej posady zakrystiana w Brompton. Jeśli jedziesz do Rzymu, musisz poświęcić bogate, nęcące życie w Wimbledon. Istnienie tej właśnie negatywnej, ograniczającej strony woli nadaje większości gadaniny anarchicznych czcicieli woli niewiększą wartość od niedorzeczności. Na przykład J. Dawidson wzywa nas, byśmy nic nie mieli wspólnego z „Nie będziesz", ależ z całą pewnością, jest oczywiste, że „Nie będziesz" jest jednym z koniecznych wniosków „Ja będę". „Ja będę chciał do pana S., a ty mnie nie będziesz zatrzymywał". Anarchizm zaklina nas abyśmy byli śmiałymi, twórczymi artystami i nie troszczyli się o prawo i ograniczenia. Tymczasem nie można być artystą i nie dbać o prawa i ograniczenia. Sztuka jest ograniczeniem; istotą każdego obrazu jest rama. Jeśli się rysuje żyrafę, musi się ją narysować z długą szyją. Jeśli ktoś w śmiałym twórczym nastroju uzna, że wolno mu narysować żyrafę z krótką szyją, to wkrótce spostrzeże, że nie wolno mu rysować żyrafy. Z chwilą wkroczenia w świat faktów, wkraczamy w świat ograniczeń. Można uwolnić rzecz od obcych, przypadkowych praw, ale nie od praw ich własnej natury. Można, jeśli kto zechce, zwolnić tygrysa z za prętów; ale nigdy z poza pręg. Niech nikt nie uwalnia wielbłąda od ciężaru garbu, bo może go uwolnić od tego, że jest wielbłądem. Niech nikt nie będzie demagogiem wzywającym trójkąty do wyłamania się z więzienia swych trzech boków. Jeśli trójkąt wyłamie się ze swych trzech boków, to życie jego znajdzie żałosny koniec. Ktoś napisał pracę nazwaną „Miłość trójkątów"; nigdy tego nie czytałem, ale pewny jestem, że jeśli można kochać trójkąty, to tylko za to, że są trójkątne.

To jest przypadek wszelkiego artystycznego tworu, który w pewnym sense jest stanowczo przykładem czystej woli. Artysta kocha swoje ograniczenia: one bowiem stanowią rzecz, którą on tworzy. Malarz jest zadowolony, że płótno jest płaskie. Rzeźbiarz jest zadowolony, że glina jest bezbarwna. Jeśli punkt ten nie jest dostatecznie jasny, to historyczny przykład może go zilustrować. Rewolucja Francuska była na-

W świecie...

ZABÓJSTWO GANDHIEGO

24.I. 29 stycznia o godzinie 5 popołudniu Mahatma Gandhi w chwili, gdy udawał się na swe codzienne modlitwy został zastrzelony przez Hindusa, członka skrajnie nacjonalistycznego ruchu „Mahasaba", na którego czele stoją bramini, ortodoksi hinduscy, w najwyższym stopniu niezadowoleni z polityki Gandhiego dążącej do zrealizowania pełnego i szczerego porozumienia z Hindusami wyznania muzułmańskiego. Podobno ta sama organizacja przygotowywała szereg dalszych zamachów na innych wybitnych działaczy rządzącej w Hindustanie partii Kongresu.

Gandhi był postacią na tle współczesnego życia politycznego zupełnie osobliwą. Był to mąż stanu i polityk, który dążenia swe postanowił realizować w całkowitej zgodzie z nakazami pełnej etyki, etyki, która — choć Gandhi ją inaczej nazywał — w rzeczywistości była etyką chrześcijańką. Za jedyną oręż polityczną zmarły starzec uważał tylko presję moralną i wyższość moralnej postawy człowieczej. Jego świętość osobista nie przesłoniła mu rozsądku politycznego: teoria biernego oporu okazała się w wypadku Indii stokroć skuteczniejszą i bardziej realną — niż wszelkie i jakiekolwiej krwawe powstania i awantury skierowane przeciw Anglikom. Świętość i realizm polityczny sprawiły, że Gandhi już za życia był czczony w własnym narodzie niczem bóg, a wszystkie inne narody, nie wyłączając angielskiego, traktowały go z najwyższymi oznakami czci i poważania. Był to człowiek wielki — wielkością duszy w świecie, który przywykł cenić tylko wielkość cyfr i moc siły zbrojnej. Nic dziwnego, iż śmierć jego wywołała nie tylko oficjalnie manifestowaną żałobę we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, ale też rzeczywisty żal ludzi prostych. Zabił go skrajny fanatyk jakiejś obłąkanej idei. Nad tą mogiłą, jak nad tylu już innymi — jeszcze raz wypada się nam zastanowić nad tą wielką prawdą, że w największe nieszczęścia wtrącają swe narody i kraje właśnie nieposkromnieni fanatycy; ludzie głusi tak na rozum jak na moralność.

Niestety śmierć Gandhiego wydaje się właśnie oznaczać, iż w Indiach wzbierają siły krańcowych fanatyzmów narodowych i religijnych. Biedny naród! Strzały, jakie ugodziły Proroka są zapowiedzią wojny domowej w Indiach. Wojny, na której wielu może zyska, ale na której straci na pewno zwykły Hindus — zarówno obywatel Hindustanu jak i Pakistanu. Straci, gdyż ślepy fanatyzm religijny rządzący nimi już doprowadził do powstania dwu oddzielnych państw, a w konsekwencji przyniesie krwawą wojnę domową.

GDY BEVIN PROPAGUJE ST. ZJEDNOCZONE EUROPY ZACHODNIEJ...

Moskwa, 29.1. (PAP). „Prawda" donosi, że do redakcji tego dziennika wpłynęły pytania od czytelników, dotyczące stanowiska „Prawdy" wobec oświadczenia premiera Bułgarii — Dymitrowa w sprawie federacji lub konfederacji i unii celnej krajów Europy wschodniej i południowo-wschodniej.

„Prawda", odpowiadając na te pytania, wyjaśnia, że redakcja niesolidaryzuje się z premierem Dymitrowem. Zdaniem redakcji „Prawdy", wyżej wspomnianym krajom nie jest potrzebna ani problematyka i sztuczna federacja lub konfederacja, ani unia celna, lecz wręcz przeciwnie — wzmocnienie i obrona własnej niezawisłości przez mobilizację i organizację wewnętrznych sił ludowo-demokratycznych, jak to słusznie stwierdziła deklaracja 9 partii"

„Prawda jest organem wszech rosyjskiej Partii Komunistycznej.

30. I. 48 r.

prawdę rzeczą bohaterską i stanowczą, ponieważ Jakobini chcieli czegoś określonego, ograniczonego. Chcieli oni demokratycznych wolności, ale wraz z tym również wszystkich ujemnych stron demokracji. Pragnęli oni mieć głosy, a nie tytuły. Republikanizm posiada równie stronę ascetyczną we Franklinie i Robespierze jak wybuchową w Dantonie i Wilkesie. Dlatego stworzyli oni coś o stałej substancji i kształcie, równość społeczną i chłopskie bogactwo Francji. Ale od tego czasu rewolucyjny czy filozoficzny duch Europy osłabł przez to, że wzdraga się przed jakimkolwiek posunięciem z powodu ograniczeń tego posunięcia. Liberalizm zwyrodniał w liberalność. Jakobini mogliby powiedzieć nie tylko przeciw jakiemu systemowi się buntują, lecz (co ważniejsze) przeciw jakiemu by się nie buntowali, jakiemu by mogli zaufać. Lecz nowy buntownik jest sceptykiem i niczemu całkowicie nie ufa. Nie ma on w sobie lojalności i dlatego nie może on być prawdziwym rewolucjonistą. A fakt, że wątpi o wszystkim prowadzi go do podkopywania się wszystkiemu. Wszelka skarga wypływa z moralnej doktryny jakiegoś rodzaju, lecz nowoczesny rewolucjonista wątpi nie tylko o instytucjach, które oskarża, lecz i o doktrynie z punktu widzenia której skarży. I tak pisze on książkę, w której uskarża się, że imperialny ucisk znieważa czystość kobiet, a po tym pisze drugą książkę (o zagadnieniu płciowym), w której sam ją znieważa. Strofuje Sułtana za to, że panny chrześcijańskie tracą dziewictwo, a po tym strofuje pannę Grundy za to, że zachowała dziewictwo. Jako polityk będzie on głosił, że wojna jest marnowaniem życia, a jako filozof, że życie jest marnowaniem czasu. Pesymista skarży policjanta o zabicie chłopa, a po tym udowodni najwyższą, filozoficzną metodą, że chłop sam się powinien był zabić. Nazywa małżeństwo kłamstwem, a następnie oskarża arystokratycznych rozpustników, że je traktują jako kłamstwo. Nazywa sztandar fraszką, a po tym gani ciemięzców Irlandii za odrzucenie tej fraszki. Człowiek z tej szkoły idzie najpierw na zebranie polityczne, gdzie skarży się, że dzicy są traktowani jak zwierzęta, potem bierze parasol i kapelusz, aby się udać na zebranie naukowe, gdzie udowadnia, że dzicy są to w praktyce zwierzęta. Krótko mówiąc nowoczesny rewolucjonista, będąc nieograniczonym sceptykiem, wiecznie podkopuje swoje własne kopalnie. W książce o polityce atakuje on ludzi za to, że depcą moralność, w książce o etyce atakuje moralność za deptanie ludzi. I dlatego nowoczesny rewolucjonista stał się praktycznie nieużyteczny dla rewolucji. Buntując się przeciw wszystkiemu tracił on prawo do buntu przeciw czemukolwiek.

Można tu dodać, że tę samą pustkę i upadek można dostrzec we wszystkich dumnych i groźnych rodzajach literatury, a szczególnie w satyrze. Satyra może być szalona i anarchiczna, lecz przyjmuje ona przesądzaną wyższość jednych rzeczy nad innymi, przyjmuje ona wzór; kiedy ulicznicy śmieją się z opasłości jakiegoś wytwornego dziennikarza, to nieświadomie przyjmują za wzór grecką rzeźbę. Odwołują się do Apolina marmurowego. I ciekawy fakt zniknięcia satyry w naszej literaturze jest przykładem dumy więdnącej z pragnienia jakiegokolwiek prawidła, z którego można by być dumnym. Nietsche miał pewien naturalny talent do sarkazmu; mógł on szydzić, choć nie mógł on śmiać się; lecz w jego satyrze jest zawsze coś bez ciała, bez nogi, bo za tą satyrą nie ma masy ogólnej moralności. On sam jest bardziej niedorzeczny, niż cokolwiek, przeciw czemu występuje. Ale istotnie, Nietsche doskonale reprezentuje typ tego całego upadku abstrakcyjnej gwałtowności. Rozmiękczenie mózgu, na które w końcu zapadł, nie było wcale fizycznym przypadkiem. Gdyby Nitsche nie skończył jako idiota, to Nitscheanizm skończyłby na idiotyzmie. Ktokolwiek myśli w odosobnieniu i z pychą skończy jako idiota. Wszelki człowiek, który nie zmiękczy swego serca, musi w końcu rozmiękczyć swój mózg. Tak ostatnia próba uniknięcia intelektualizmu kończy się na intelektualizmie, a więc na śmierci. Ucieczka zawiodła. Szalona cześć dla bezprawia i formalistyczna cześć dla prawa kończy się w tej samej próżni. Nietsche drapie się na chwiejące się góry, ale w końcu zwraca się do Tybetu. Siada on przy Tołstoju w kraju nicości i Nirwany. Są oni obaj bezradni — jeden dlatego, że nie może niczego uchwycić, a drugi — ponieważ nie może pozwolić, żeby coś się działo, wola Tołstoja jest zamrożona przez buddyjski przeczynki są złe. Lecz wola Nitschesąd, że wszystkie szczególne uańska jest tak samo zamrożona swym poglądem, że wszystkie szczególne uczynki ludzkie są dobre, bo jeżeli wszystkie szczególne uczynki są dobre, to żadne z nich nie są szczególne. Stoją one na rozstaju i jeden z nich nienawidzi wszystkich dróg, a drugi lubi wszystkie drogi. Wynik tego jest łatwy do przewidzenia — stoją na rozstajnych drogach. Tak kończę (dzięki Bogu) najpierwszą i najbanalniejszą sprawę tej książki — powierzchowny przegląd nowej myśli. Zaraz po tym zaczynam szkicować pogląd na życie, który może nie ciekawić mego czytelnika, ale który, w każdym razie ciekawi mnie. Przede mną w chwili zakończenia tej karty leży stos nowoczesnych książek, które w razie potrzeby wertowałem — stos wielkich uzdolnień, stos jałowości. Dzięki memu obecnemu osamotnieniu mogę widzieć nieuniknione rozbicie się filozofii Szopenhauera i Tołstoja, Nitschego i Shaw'a tak jasno, jak jasno można widzieć z balonu rozbicie się pociągu. Wszystkie one znajdują się na drodze do czczości, do zakładu dla obłąkanych. Gdyż obłąkanie możemy określić jako używanie aktywności myśli, aż do osiągnięcia stanu bezradności myśli, a ten stan prawie już osiągnęły tamte filozofie. Kto myśli, że jest ze szkła, myśli o zniszczeniu myśli, bo szkło nie może myśleć. Tak samo ten, który nie chce nic odrzucić, chce zniszczyć wolę, bo wola jest nie tylko wyborem czegoś, ale i odrzuceniem prawie wszystkiego. I gdy tak przewracam i przerzucam przykre, godne podziwu, męczące i bezużyteczne książki nowoczesne, tytuł jednej z nich przykuwa moje oko. Zowie się „Joanna d'Arc" — Anatola France'a. Ledwie na nią spojrzałem; ale dość było spojrzenia, aby sobie przypomnieć o „Życiu Jezusa" — Renana. W obu tych książkach mamy tę samą dziwną metodę uniżonego sceptyka. Dyskredytuje ona opowieści nadnaturalne, które mają pewne podstawy, po prostu przez opowiadanie naturalnych opowieści, które nie mają podstaw. Ponieważ nie możemy wierzyć w to, co święty zrobił, mamy pretensję, że wiemy dokładnie co on czuł. Ale wymieniam te książki nie po to, by je krytykować, ale dlatego, że przypadkowe połączenie imion wywołało niepokojące obrazy zdrowia, które zdmuchnęły wszystkie książki z przede mnie. Joanna d'Arc nie utknęła na rozstajach czy to przez odrzucenie wszystkich ścieżek, jak Tołstoj, czy przez przyjęcie ich wszystkich, jak Nitsche. Wybrała ona jedną ścieżkę i poszła po niej jak piorun. A jednak Joanna, gdy zacząłem o niej myśleć, miała w sobie wszystko to, co było prawdziwe zarówno w Tołstoju jak w Nitschem, wszystko to nawet, co jest znośnym u każdego z nich. Myślałem o wszystkim, co było w Tołstoju szlachetne, o upodobaniu w prostych rzeczach, szczególnie w szczerej litości, w rzeczach ziemskich, uszanowaniu dla biednego, dla godności schylonego grzbietu. Joanna d'Arc miała to wszystko z tym wielkim dodatkiem, że sama przeszła biedę na tyle, na ile ją podziwiali, gdy Tołstoj jest tylko typowym arystokratą, który próbuje przeniknąć jej tajemnice. I później pomyślałem o wszystkim, co było dzielne i dumne i patetyczne u biednego Nietschego, o jego buncie przeciw pustce i tchórzostwie naszych czasów. Pomyślałem o jego krzyku o ekstatyczną równowagę niebezpieczeństwa, o jego głodzie pędu wielkich koni, o jego ustaniu do broni. Otóż Joanna miała to wszystko i znowu z tą różnicą, że nie chwaliła walki, lecz walczyła. My wiemy, że nie przelękła się ona całej armii, gdy Nietsche, o ile wiemy, bał się krowy. Tołstoj tylko chwalił chłopa, ona była chłopką. Nietsche tylko chwalił wojownika, ona była wojownikiem. Pobiła ich obu w ich własnych, sprzecznych ideałach, była łagodniejsza niż pierwszy, gwałtowniejsza niż drugi.

K. G. Chesterton (tł. Z. Jakimiak)

Wędrówki po scenach polskich

„ŻABUSIA" ZAPOLSKIEJ w MTD

Nie potrafiliśmy sobie jakoś zdać sprawy z tego, że nasz sposób myślenia często bywa niekonsekwentny aż do śmieszności. A oto przykład: wystarczy gdzieś w jakimś towarzystwie wspomnieć o tym jak to się żyło na początku wieku pary i elektryczności, przed erą Atomowej Bomby, dokładniej mówiąc: na przełomie stuleci, by nasze bardzo postępowe przekonania oburzać się poczęły na dnie, w których do małżeństwa panna młoda wnosiła posag a pan młody choroby weneryczne, ale wystarczy również pójść bezpośrednio po tej dyskusji do teatru, gdzie grają Zapolską, by nic nie tracąc z oburzenia na dulszczyznę, nie bez sympatii myśleć: były czasy, przed wojną, panie tego... Na powstanie tego sentymentu wpływa chyba nie wystarczający jeszcze wielki dystans czasu, bo przecież przemiany społeczne spowodowały, iż w sensie naszych przekonań atmosfera sztuk Zapolskiej, albo Kisielewskiego tak się ma do dziś panujących stosunków jak pięść do nosa. Gdyby sądzić z różnic w pojmowaniu życia można by przypuścić iż odległość między życiem Julki Chromińskiej a życiem uspołecznionej kobiety wynosi lat najmniej tysiąc, podczas gdy w istocie żyją między nami jeszcze młodsi bracia Dulskiej, a i osobista znajomość z Milewskimi wcale nie należy do rzadkości.

W powodzeniu Zapolskiej dopatrzyć się trzeba faktu, iż, mimo wszystko, skóra postępu nie narosła na nas jeszcze zbyt grubo, że lubimy się pośmiać z wad, które... pocichutku powiedzmy... w mniej może ostrej formie odziedziczyliśmy po rodzicach.

Właściwie rzecz traktując, należałoby przyznać rację tym, którzy drą szaty z rozpaczy, widząc jak Zapolska w pełnej glorii wędruje sobie po naszych scenach: teatr winien przecież wskazywać życie jutra w aspekcie dzisiejszości, a obracanie się w stęchliźnie wczorajszego dnia damałe korzyści społeczne. Podświadomy jednak sentyment, a przede wszystkim uznanie w pracy Zapolskiej jej szczerej, porywającej nieraz pasji artystycznej, każe nam wypełniać po brzegi widownie, ilekroć mamy możność obejrzenia następnego z rzędu wznowienia.

I tak jest z „Żabusią". Ma powodzenie? — niech sobie ma. Krzywdy to na pewno nikomu nie przyniesie.

„Żabusia" jest dowodem, że sojusz płci silniejszy bywa od poczucia sprawiedliwości. Zapolska nie ujmując nic z win Heleny, każe nam nabierać dla niej sympatii i raczej skłonni jesteśmy oskarżać za grzechy Heleny rodziców a nawet męża.

Darujmy to jednak aktorce, nie wdawajmy się w niepotrzebną dyskusję o winie — „Żabusia" należy przecież (podobno) do przeszłości, a zajmijmy się wartościami artystycznymi spektaklu.

Udała się „Żabusia" Poredzie. Piszę te słowa ze specjalną satysfakcją, gdyż okazja do takiego sądu zdarza się raczej rzadko. I to udało się na każdym odcinku. Reżyseria Kochanowicza, dekoracje K. i J. Gosławów, gra wszystkich aktorów stanęła na dobrym, pełną dającym satysfakcję widowni, poziomie. Specjalnie chciałbym podkreślić dużej klasy osiągnięcie p. H. Bielskiej w roli „Żabusi".

Pierwsze po wojnie spotkanie z Molierem

Tak się jakoś złożyło, że dotychczas szukałem go na próżno. Wiem, że tu i ówdzie (rzadko zresztą niesłychanie) zagładał już po wojnie, ale drogi wielbiciela z drogami wielbionego zbiec się jakoś nie mogły.

Dopiero na Wybrzeżu,*) u Galla, nastąpił ten moment wielce dla mnie uroczysty.

Albo zbyt długa rozłąka wpłynęła tak na mnie, iż za bardzo wyidealizowałem sobie tę postać, albo coś szwankowało w gdyńskim spektaklu, dość, że mimo przecierania oczu nie mogłem rozpoznać Mistrza. Dopiero po dłuższej analizie przyszedłem do wniosku, iż w grę wchodzi tylko ten drugi powód.

„Chorego z urojenia" prezentował publiczności „Wybrzeża" p. Włodzimierz Kwaskowski wykonując tym samym swą pracę warsztatową w egzaminie reżyserskim. Nie wiem jaka jest opinia komisji — moim zdaniem egzamin wypadł negatywnie. W spektaklu nie było jednej myśli. Powiedział mi niedawno Horzyca, iż nienawidzi w języku teatralnym słowa „groteska", pod słowem tym bowiem kryje się najczęściej chęć usprawiedliwienia lenistwa lub nieudolności. Surowy sąd Horzycy ma w sobie wiele racji. Zawsze bowiem tam, gdzie reżyser nie potrafi wybrnąć z sytuacji, będzie on usiłował pójść pozornie utartą ścieżką groteski, ale szydło z worka wylezie natychmiast: przemyślana bowiem groteska, potraktowana jako pewien wyraz artystyczny, nigdy, w żadnym momencie przejaskrawienie nie zmieni się w farsę. W Gdyni widziało się zbyt wiele farsy — i to musiało ustosunkować nieprzychylnie. Z obsady aktorskiej, podkreśliwszy wspaniałą dykcję całego zespołu, na pierwszym planie postawić trzeba młodego aktora Romana Stankiewicza, który w roli Argana najbardziej przypominał, iż mamy do czynienia ze sztuką Moliera. Janina Szydłowska przerysowała niestety wdzięczną postać Antosi stanowiącej przecież główną sprężynę komedii. Przerysowanie polegało na zbyt nieco ostrej chwilami krzykliwości i na stosowaniu mocno współczesnych sposobików kusząco-uwodzicielskich. Reszta zespołu, poza wadami wynikłymi z koncepcji reżyserskiej, poprawna.

Oprawa sceniczna Ivo Galla miała cechy zbyt daleko posuniętej syntezy. Operowanie trzema tylko barwami: czerwoną, czarną i szarą (tej ostatniej stanowczo za dużo). Ubranie większości wykonawców w standartowe kostiumy z worka, przesadna prostota umeblowania (jedyne rekwizyty: fotel Argana i na środku coś, co ze względu na częste znikanie tam Argana w celach wiadomych, może zasłużyć na złośliwą nazwę wygódki) można by przyjąć po bardzo wyintelektualizowanej dyskusji w „Skąpcu" — w „Chorym z urojenia" pogodzić się z tym było bardzo trudno.

Nie udało mi się pierwsze spotkanie z Molierem.

*) Teatr Miejski „Wybrzeże" w Gdyni. Molier — Chory z urojenia.

„TEMPERAMENTY" SĄ MODNE

Ani myśli na pewno Cwojdziński, iż najsłabsza chyba z jego sztuk, takie ma dziś w Polsce powodzenie.

Zastanówmy się tylko: dyskusję Romana i Henryka dałoby się przenieść do klubu „Kuźnicy". Wiecie co by się stało w zakończeniu? Żółkiewski, rozhisteryzowane zachwytem z powrotu Henryka do sztuki sublimowanej otoczenie, nazwałby po prostu: reakcja, a klęskę Romana przyjąłby jako obrazę osobistą.

„Temperamenty" mają powodzenie: Kraków, Gdynia, Bydgoszcz... Zważa się bardzo widocznie zasięg repertuarowy naszych teatrów.

„Temperamenty" u Galla*)? A no tak. W Teatrze „Kameralnym". I nawet nie mam pretensji, bo są zrobione świetnie. Jak się bawić to się bawić. Zespół wykorzystuje każdą okazję, by zabłysnąć perfidnymi w subtelności gierkami. Sprobujcie nie wybuchnąć śmiechem, gdy całe towarzystwo na scenie w namaszczeniu konsumuje po filiżance kawy z prawdziwym ciastkiem drożdżowym (jedno zostaje na paterze, ale światło niestety nie gaśnie). Scena ta jest jedną z najlepszych jakie udało mi się widzieć w komedii wystawianych po wojnie. I to już przecież nie jest zasługa Cwojdzińskiego. Tu właśnie okazuje się jaskrawo, jak dużo teatr może pomóc dramaturgowi.

Tekst opanowany z rzadko spotykaną perfekcją przeszła się w zawsze właściwie podkreślanych odcieniach płynnie, bez potknięć. Wszystko to razem i owe gierki i doskonałość dialogów wytwarzają atmosferę dużej błyskotliwości. Nawet nudnawe gdzie indziej tyrady Zygmunta, na temat teorii Kretschmera, tutaj, kraszone uśmieszkami lub minkami Jadzi i Stefci, nabierają jakiegoś tonu cieplejszego.

Po spektaklach Galla nie powinno się nigdy mówić pojedyńczo o wykonawcach. O tym wiedziałem. Po „Temperamentach" przekonałem się, iż wymawianie się z tej zasady byłoby nie tylko grzechem (wobec założeń ideowych teatru Galla), ale i niemożliwością: trzeba by bowiem napisać siedem listów pochwalnych — tego nikt nie potrafi.

*) Teatr Kameralny „Wybrzeże" w Gdyni. Cwojdziński — Temperamenty.

Mieczysław Markowski

KOMUNIKAT

W dniu 19 stycznia b. r. na zebraniu prezydium Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich na satnowisko ustępującego sekretarza generalnego Juliusza Żuławskiego został dokooptowany Leopold Lewin.

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

19

Stefan Kisielewski (Kisiel)

— Nie mów mi o psach policyjnych — woźny podniósł swój bezdźwięczny głos — ten szpicel tak mnie drażnił, że już chciałem kazać go zabić — ludzie stali za filarem, tylko kiwnąć ręką. Miał szczęście, że bałem się alarmu. Ale...

Nagle w podziemnym pokoju zabrzmiał suchy, krótki, ostry dzwonek. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie. Po chwili milczenia Hagewand podniósł przymocowaną do ściany słuchawkę telefoniczną.

— Tak.. — powiedział półgłosem.

Chwilę słuchał — Randen i woźny obserwowali go w milczeniu. Twarz Hagewanda była spokojna.

— Dać ich tutaj — powiedział wreszcie i powiesił słuchawkę. Pozostali patrzyli nań pytająco.

— Nasi ludzie złapali na górze dwóch cywilów, którzy chcieli się chyłkiem dostać do gmachu — powiedział Hagewand. — Kazałem ich tu przyprowadzić.

Zapadło długie milczenie. Nagle w jednej ze ścian otwarły się niewidzialne przed tym drzwi i jakieś dwie spętane ze sobą postacie wepchnięto siłą do środka, tak, że runęły z trzaskiem na podłogę, poczym jęły niezgrabnie gramolić się z powrotem na nogi, raz po raz upadając i groteskowo zderzając się głowami. Drzwi za nimi zamknęły się sprawnie.

Trzej znajdujący się dotąd w blaszanym pokoju mężczyźni powstali z miejsc, z zainteresowaniem przyglądając się wysiłkom tych ludzi, którzy mieli skrępowane z tyłu ręce oraz szczepieni byli ze sobą nogami w ten sposób, że każdy z nich miał przykrępowane do siebie obie swoje kostki, zaś na wysokości kolana lewej nogi jednego z nich biegł rzemień, łączący ją z prawą nogą drugiego. Przedziwne widowisko — istna dwugłowa hydra. Jedna z głów tego stworu była łysa, zezowata, w złotych okularach, druga — poważna, chłodna, o zaciętych ustach. Krótko mówiąc związanymi osobnikami byli nie kto inny jak radca Pikron i komisarz Gromel. Długo trwało, zanim zdołali wreszcie podnieść się na nogi i utkwili spojrzenia w obserwujących ich drwiąco gospodarzach blaszanego pokoju.

Pierwszy przerwał milczenie woźny, a raczej człowiek, który uchodził za woźnego. Głos jego nabrzmiały szyderstwem i nienawiścią, przechodził bezpośrednio od przenikliwego szeptu do przeraźliwego krzyku.

— Ha — psy, szakale! Jesteście więc! Spieszno wam było do śmierci — nie bójcie się, nie minie was. Tutaj już nie ma dla was ratunku.

Rejent Randen nie patrzył na więźniów — twarz miał skupioną; na obliczu Hagewanda malowała się pogarda. Lecz z twarzy „woźnego" tryskała nienawiść i szyderstwo iście diaboliczne — wyglądał jak Mefisto — oczy jego rzucały błyskawice. Nagle podszedł do związanych i zaczął ich kopać.

— Pan komisarz był łaskaw sprowadzić pana radcę?! — szydził — a teraz obaj panowie nigdy już nie zobaczą tego pięknego świata — szkoda — teraz zacznie on być naprawdę piękny — gdy my go przeczyścimy. Tak, to my będziemy teraz „Budowniczymi świata" — mamy władzę w ręku — he, he, he!

Komisarz Gromel zachowywał pozorną obojętność, natomiast radca Pikron słysząc ostatnie słowa „woźnego" drgnął lekko i wpatrzył się w niego swym rozlatanym spojrzeniem. To rozwścieczyło starego upiora.

— No co, nie znasz mnie, psie?! Powiedz, kto ja jestem — no! Mów — bo cię kopnę!

Radca Pikron przemówił nagle głosem bardziej trochę skrzeczącym niż zwykle:

Pan był tutaj agentem Wywiadu Wojskowego.

— Nie, drogi, kochany radco — głos tamtego stał się słodziutki jak miód. Ja tylko udawałem agenta — wasz skretyniały kokainista Hollon przyjął mnie przed laty jeszcze, nie wiedząc wcale, kto ja jestem. Ale panu powiem — panu powiem, drogi radco — niech pan się przed śmiercią chociaż dowie, z kim pan miał zaszczyt ostatni raz w życiu rozmawiać. Ja jestem Malton, Henryk Malton, którego wy, psy, szukaliście na próżno tyle lat po całym kraju. A teraz ja was mam w ręku — ha, ha, ha!

Śmiech jego był przerażająco demoniczny. Pikron i Gromel spojrzeli sobie w oczy: Henryk Malton to był ów „wódz" nacjonalistycznego puczu, urządzonego przez „Naród Przebudzony" wiele, wiele lat temu — Malton właśnie osobiście dowodził atakiem na gmach Ministerstwa Administracji i Sprawiedliwości a potem znikł bez śladu, jak kamień rzucony w odmęt morski. Więc to on udawał agenta Wywiadu w Zakładzie Chemii, a w istocie kierował stąd zbrodniczą działalnością „Narodu Przebudzonego". Zaiste — rzecz nie do wiary!.

— No co, znasz mnie, mów — ty — Malton zamierzył się na radcę Pikrona.

Radca poszukał wzrokiem rejenta Randena, który starał się nań nie patrzyć. Pikron skrzywił się ni to szyderczo ni to boleśnie.

— Naturalnie, że pana znam — skrzeknął niespodziewanie raźnie — to pan jest ten odwieczny kandydat na wodza narodu, a przy tym hypnotyzer-amator. Niech pan tylko nie myśli, że się pana ktoś boi.

— Odważna bestia — pomyślał komisarz Gromel. Jednocześnie targnęło go coś do tyłu: to Malton wyciął Pikronowi siarczysty policzek, aż w złoto oprawne okulary radcy spadły na ziemię. Lecz na strasznej teraz twarzy „woźnego" po tym uderzeniu odmalowało się raptem przeraźliwe zmęczenie. Zatoczył się i upadł w głęboki fotel — ciemne oczodoły i ziemista bladość nadawały jego twarzy wybitne podobieństwo do trupiej głowy. Pikron nieporadnie obzierał się za okularami — oczy biegały mu jak zwariowane. Komisarz stał bez ruchu — cała ta scena w potężnym blasku dwusto świecowych mlecznych lamp wydawała mu się nierealna — jakby grali role w jakiejś fantastycznej wizji filmowej. Lecz nie mogło tu być żadnych wątpliwości — znajdowali się w szponach śmierci, w rękach szaleńców — na to nie ma sposobu. Z przelotną satysfakcją zanotował sobie komisarz w głowie myśl, że to nieostrożności radcy Pikrona zawdzięczają tę całą „wsypę". Mówiłem, żeby nie iść bez osłony — nie zwracał na to uwagi. Zresztą — teraz to już było wszystko jedno. Umrzeć z honorem, nie pokazać tym ludziom słabości — oto całe zadanie.

Nagle przemówił Karol Hagewand. Głos miał swobodny, uprzejmy, pełen swady, tak jakby zagajał zebranie dyskusyjne intelektualistów.

— Sami panowie rozumieją, że po tym co się stało, nie mogą panowie wyjść stąd z życiem: nie mieliśmy zamiaru personalnie was atakować, gramy tu o większą stawkę, lecz skoro próbujecie udaremnić nasze wielkie dzieło, zmuszeni jesteśmy was uniszkodliwić. Sprawiedliwość historii musi uzyskać swoją egzekutywę; mamy oto w ręku epokowy wynalazek profesora Galarda — tu Hagewand wskazał ręką w kierunku rozpiętej na pulpicie ludzkiej skóry — realizacja jego w ciągu paru dni da nam w rękę środki, za pomocą których złamiemy administracyjną przemoc tej zakłamanej, skorumpowanej, rządzonej w istocie przez międzynarodowych agentów Republiki. Naród powstanie, Naród przebudzony, Naród świadomy swych wielkich celów historycznych, Naród któ...

Ostry dzwonek telefonu przerwał mu w pół słowa. Hagewand ujął słuchawkę.

— Tak...

Chwilę słuchał w milczeniu, potem zwrócił się do Maltona.

— Trzy wielkie samochody z wojskiem i agentami zajeżdżają przed Zakład. Co robić?

Twarz „wodza" była nieruchoma, jak oblicze trupa.

— Ukryć się — odpowiedział głucho — i wpuścić ich. Niech szukają — nas nie znajdą nigdy. A z tymi dwoma zaraz sam skończę.

Hagewand powtarzał polecenie do telefonu, tymczasem złowrogi Malton podniósł się powoli i wziął ze stołu leżący tam pistolet. Ze strasznym uśmiechem sadysty jął się zbliżać do więźniów. Komisarz poczuł lód w krzyżu. — Koniec — to jasne. W tem niespodziewanie rejent Randen zatrzymał szaleńca.

— Poczekaj Henryku aż tamci sobie pojadą — rzekł. — Możemy z tych dwóch jeszcze wyciągnąć trochę zeznań.

Malton wstrzymał się — po chwili wzruszając ramionami odłożył pistolet i usiadł z powrotem w fotelu. Przez długie minuty wszyscy nadsłuchiwali milcząc. Telefon zaterkotał znowu: Hagewand podniósł słuchawkę.

— Zeszli do piwnicy — powiedział odkładając ją po chwili. — Są nad nami. Ale nas tu nie znajdą. Trzeba przeczekać.

Napięcie w blaszanym pokoju dochodziło do zenitu — tamci trzej trwali zasłuchani w metaliczną ciszę podziemia, komisarz i radca stali sztywno — Gromel wyczuwał lekkie drżenie ramienia Pikrona przy swoim. Wtem rejent Randen wstał powoli, cichym, skradającym się krokiem podszedł do żelaznych schodków i wspiął się po nich aż pod sufit, nadsłuchując uważnie. Oczy pozostałych mężczyzn wpiły się w niego drapieżnie. Komisarz zdawał sobie sprawę, że coś się tu dzieje, lecz nie rozumiał, nic nie rozumiał... Nagle poczuł silne drgnięcie ramienia Pikrona i w tej chwili ciszę rozdarł przeraźliwy, wynaturzony wrzask radcy:

— Budowniczowie świata, do mnie!!

Komisarz ujrzał tylko, że ręka rejenta wykonała jakiś błyskawiczny ruch i że drzwi na suficie rozsunęły się z trzaskiem. Jednocześnie zgasło światło i z góry rozebrzmiał piękny, dźwięczny głos Randena.

— Policja, na pomoc, tutaj!!!

Kilkanaście następnych sekund było nie do opisania — wydarzenia postępowały z sobą w tempie iście szalonym. Komisarz poczuł, że radca Pikron pociąga go na ziemię, jednocześnie padło kilka strzałów, których huk mógłby ogłuszyć słonia, po nich zaś zagrzechotały niekończące się kaskady jazgotu tłuczonego szkła i jakieś wybuchy. Po wijących się na podłodze nierozłączonych ciałach radcy i komisarza przebiegł ktoś ciężkimi butami, naraz wszystko rozświetliło się blaskiem iście piekielnym — czerwone, potężne języki ognia jęły lizać przedmioty wokół, w blasku ognia widniała wyniosła sylwtka Hagewanda, stojącego bez ruchu z wielką, pustą bańką w ręku. Benzyna!

— Szyfr, szyfr się pali! — zapiał Pikron.

Nagle z góry rozległ się mocny głos basowy, skądś komisarzowi znany:

— Pikron, jesteś tam?!

— Jestem! — Pikron wił się, szarpiąc i tarmosząc komisarza, lecz wszystko na próżno — odczepić się od siebie nie mogli. Wtem zapłonęło światło elektryczne. Na żelaznych schodach stał dyrektor Lorm z rewolwerem w ręku, za nim, z góry tłoczyli się żołnierze w hełmach. Rejent Randen był niewidoczny. Blaszany pokój przedstawiał obraz straszliwej ruiny: przyrządy potłuczone, fotele poprzewracane i zwęglone — obok jednego z nich leżał trup Maltona, ściskającego w zastygłej dłoni rewolwer — szaleniec sam roztrzaskał sobie czaszkę. Pulpit i stolik z Biblią spalone były doszczętnie, płomienie czepiały się jeszcze nielicznych drewnianych przedmiotów pokoju, ale już przygasały. Obok resztek pulpitu stał Hagewand, trzymając jeszcze w ręku pustą bańkę po benzynie. Twarz miał bladą, lecz silił się na drwiący uśmiech.

— Ani wam, ani nam — mamrotał w stronę wijących się po ziemi komisarza i Pikrona.

W pół godziny potem do wielkiego auta załadowano Hagewanda i sześciu jego ludzi, schwytanych w ukrytej w hallu metalowej izdebce, czymś w rodzaju bunkru, połączonego z blaszanym pokojem ukośnym, podziemnym korytarzem (tędy to właśnie wleczono komisarza i radcę). Zwłoki Maltona przesłane miały zostać do Medycyny Policyjnej. Cały gmach Zakładu Chemii obsadziło wojsko — jak się okazało instalacja alarmowa, łącząca gmach z centralą Wywiadu Wojskowego działała sprawnie, lecz Malton, który osiągnął dziwny, hypnotyzerski wpływ na pułkownika Hollona, nałogowego zresztą narkomana, co pół godziny telefonował doń, że wszystko jest w porządku.

— Tego łotra Hollona trzeba powiesić — mówił grubym głosem Kamil Lorm — przez niego straciliśmy wynalazek Galarda. Czemuż do diabła Randen nas o tym nie uprzedził?!

Komisarz Gromel uwolniony wreszcie od swego ruchliwego „sjamskiego brata", rozwiązany i napojony koniakiem odzyskał już swobodę i sprawność umysłu. Stali we trzech z radcą Pikronem i rejentem Randenem w hallu, rozpamiętując szczegóły tej pełnej napięcia nocy. Była godzina czwarta nad ranem — miasto spało jeszcze, nieświadome burzliwych wydarzeń, jakie rozegrały się w Dzielnicy Północnej. Komisarz żądny był rozmowy: wielu rzeczy nie rozumiał, zwłaszcza nie mógł pojąć roli, jaką odegrał w tym wszystkim rejent Randen; tamci jednak nie kwapili się z wyjaśnieniami.

— A więc wynalazek profesora Galarda pozostanie nieznany — powiedział z ożywieniem Gromel. — Może to i lepiej. Nic by z tego dobrego nie wyszło.

— Ach — tak pan uważa? — radca Pikron skrzywił się ironicznie. — A ty Filipie, nie wpadłeś na pomysł zrobienia odpisu tego szyfru?

— Nie, nie zdążyłem — zresztą i tak wszystkie papiery się spaliły — odrzekł sucho rejent. Twarz jego była blada, oczy pałały fanatycznym blaskiem.

— Może być, że profesor ukrył jeszcze gdzieś kopię testamentu — powiedział znów z ożywieniem Gromel — ciekawym problemem byłoby stwierdzenie tego. Sądzę, że łączy się to z pytaniem, kto właściwie zamordował profesora? I dlaczego zamordowano Luizę Lore? Wszak tego jeszcze nie wiemy.

— Jestem pewien, że przy pańskich znakomitych talentach dedukcyjnych dowiemy się tego bardzo niedługo — obyś pan tylko tym razem naprawdę głowy nie stracił — niezbyt dobrze pan jej pilnuje!

Radca jak z tego widać odzyskał szybko — aż za szybko — całą swoją arogancję i sarkazm. — Niespożyty typ — pomyślał komisarz. — Ale jak na to, że przez jego nieostrożność o mało co nie straciliśmy głów obaj, mógłby być trochę grzeczniejszy.

XVII.

Prowincja! Ileż w tym słowie zawiera się treści, ileż obrazów i nastrojów, ileż sentymentów, tęsknot, wspomnień, słodkiej melancholii. Lecz dużo także, powie ktoś, nudy, irytacji, gniewów — ba — tragedii nierzadko — niejedna przecież pani Bovary wypłakała oczy w małym, spokojnym, cichym miasteczku, dla niejednego ciasny krąg przestrzeni ograniczony apteką, rynkiem, kościołem stał się kołem udręczeń, rozpinającym duszę na straszliwych, powolnych torturach. Bo wiem zewnętrzny spokój, monotonia, łagodny rytm życia prowincji to często pozór tylko, to zewnętrzna warstwa, pod którą kryje się bezlitosne okrucieństwo ludzkich pożądań, ambicji, dramatycznych konfliktów, nie złagodzonych tutaj przez dekoracyjne, samoistne bujne tło wielkiego miasta. Scena jest tu, jak ongiś w pierwszym szekspirowskim teatrze, ogołocona z wszelkich zbędnych dekoracji — po prostu, tylko surowa estrada z desek, a na niej skąpo ucharakteryzowane osoby dramatu i — sam czysty ekstrakt tragedii. Nie ma tu bogactwa i różnorodności nieistotnych szczegółów, na których zatrzymać można by spragnione ulgi i wypoczynku oczy i myśl, nie ma chwilowej choćby ucieczki w inny kolor, w inną atmosferę, nie ma wreszcie kąpieli samotności, działającej czasem jak balsam.

(c. d. n.)

Czytelnik uważa, że...,

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO RED. „DZIŚ I JUTRO“

W związku z publikowaniem w „Dziś i Jutro“ dalszych fragmentów „Przemarszu przez piekło“ otrzymuję wciąż listy od Czytelników z licznymi zapytaniami.

Wobec tego, że sam nie mogę na nie odpowiedzieć, pozwalam sobie podać je do ogólnej wiadomości. Może kto z Czytelników będzie mógł udzielić informacji.

Pani **Wanda Lesiszowa. Warszawa.** Żoliborz. Zapytuje o swoją córkę Wandę — pseudonim Danuta, urodzoną 9 lipca 1924 roku. Zaginęła w dniu 2 sierpnia na ul. Kredytowej.

Pan **Ksawery Potocki** (nie podał adresu) zapytuje o „Mirka“ i ppor. Żarłoka z Armii Ludowej. **„Mirek“ (Lech Matwowski)** walczył na Woli, gdzie był ranny. przewieziony do szpitala Maltańskiego i po tym już ślad o nim zaginął. Ppor. **Żarłok,** dowódca trzeciej kompanii im. Czwartaków, nazywał się **Ryszard Suski,** zginął w dniu 11 sierpnia w wypadzie na czołgi z barykady Podwale na Plac Zamkowy.

Pani **Zofia Małachowska, Poznań, Focha 77** zapytuje o swojego siostrzeńca **Leszka Myszkorowskiego,** pseudonim **podchr. Popiel.** Będąc odcięty od swojego oddziału dołączył w pierwszym okresie powstania do por. Iko, na Starówce. Są wersje, że podchr. Popiel zginął na barykadzie przy Piwnej około 22 sierpnia. Miał lat 24, był średniego wzrostu, nosił okulary.

Pan **Czesław Czarnecki,** Praga, Ratuszowa 11, zapytuje o syna Piotra Witolda, pseudonim **Brański,** urodz. 1925 roku. Ostatnio był widziany w okolicy Nowego Światu jak szedł na Wolę.

Pan **Michał Lipski, Kołobrzeg,** zapytuje o adres **por. Starego (Dąbrowski),** dowódcy batalionu M. P P. S. im. J. Dąbrowskiego, walczącego na Żoliborzu.

Rodzina zapytuje o podchr **Czarnotę (Szymankiewicz Sławek)** z grupy „Jeleń“. Brał udział w uderzeniu oddziału powstańczego na siedzibę Gestapo w Alei Szucha, w pierwszy dzień powstania i ślad o nim zaginął.

Autor „Przemarszu przez piekło“ prosi o skomunikowanie się z nim uczestników **walk o zamek królewski i katedrę.**

Przepraszam Pana Redaktora za nadużywanie gościny w jego piśmie (czwarta lista) ale nie mam innego sposobu udzielenia informacji naszym Sz. Czytelnikom.

Stanisław Podlewski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“
PROPAGANDA CZY NAUKA?

Artykuł w numerze świątecznym. napisany przez p. red. Mieczysława Kurzynę, a noszący tytuł: „Dziś i Jutro w r. 1948“ wyrażał sugestie, że czytelnicy tego poczytnego pisma mogą niejako postulować poszerzanie w nim pewnych nurtujących ich zagadnień, aby znaleźć odpowiedź na trudne a ważkie pytania. Korzystając z pożytecznej rubryki poświęconej nawiązywaniu takich właśnie kontaktów, proszę o zwrócenie uwagi, jeśli to możliwe, na następujące zagadnienie:

W „Kuźnicy“, którą obok pism katolickich czytuję z wielkim zainteresowaniem, pragnąc w ten sposób mieć „oczy otwarte“ i „trzymać rękę na pulsie“ najważniejszych zagadnień kulturalno-społecznych w powojennej Polsce, spotkałem się z drugą serią rozważań poświęconych „Lalce“, a pisanych przez świetnego — moim zdaniem — publicystę Jana Kotta.

Nie jestem specjalistą od spraw literackich, a krytyka literacka interesuje mnie niejako z obowiązku, jako człowieka, który nie chciałby zadowolić się rolą „tabaki w rogu“.

Brak bliższej znajomości kryteriów wartościujących dzieło literackie spowodował we mnie po przeczytaniu dywagacyj Kotta nad „Lalką“ Prusa wyraźny niepokój i jakgdyby — niechęć.

Z rąk Kotta wychodzi „Lalka“ jako powieść o kapitaliźmie. Mówi się tam o różnych jego kręgach. etapach. a nic o **literackiej, artystycznej** wartości dzieła wybitnego pozytywisty-romantyka.

Czyżby jedyna wartość „Lalki“ kondensowała się w kwestiach społecznych? Dotychczas sądziłem inaczej i — trudno zmienić mi swoje mniemanie. Bo, konsekwentnie idąc za postawą Kotta, „Pan Tadeusz“ będzie tylko obrazem przemian społecznych w początku XIX wieku, a „Pieśń o Sobótce“ obrazem życia wsi XVI stulecia. Czy to będzie słuszne przedstawienie?

Przypuszczam, że popełniam jakiś błąd w rozumowaniu lub może upraszczam kwestię. Kott jest w/g mnie bardzo inteligentnym krytykiem i potrafiłby ustrzec się takich prostackich jednostronności.

Więc?

Jestem w kropce. Przykra sytuacja, z której mnie — a przypuszczam, że nie tylko mnie — wyprowadziłoby wszechstronne oświetlenie tego zagadnienia. Wielu ludzi czyta artykuły w periodykach, jako podręczniki o współczesności. Zakrada się, usprawiedliwiona chyba jednak w wypadku Kotta, obawa, że **nauka staje się propagandą, że usiłuje z literatury zrobić megafon propagandowy. A do takiej literatury, bynajmniej, nie tęsknimy.**

Przepraszam, że się rozgadałem, ale sprawa jest dla mnie i — powtarzam — chyba nie tylko dla mnie, bardzo ważna.

Pozostaję z głębokim szacunkiem.

Józef Marcinkowski
Grudziądz

DO RED. „DZIŚ I JUTRO“

Chyba wolno ująć razem artykuły w nr. 51—52 „Dziś i Jutro“: „Był rok 1947“ i „I like America“. Upoważnia do tego aprobata p. Horodyńskiego, również treść i charakter obydwu publikacji.

Czytelnik mocno stojący w postawie dynamicznej, obcy „wyczekiwaniu“, szuka również w słowie pisanym niezawodnego tworzywa. Z żywym zainteresowaniem czyta powyżej wspomniane artykuły: plastyczne i dociekliwe. Na ich tle wyrazistym, bardziej niż w jakimś bladym lub mętnym artykule zwraca uwagę każdy akcent swoiście zabarwiający rzeczywistość opisywaną, zniekształcający perspektywę, lub nasuwający wrażenie jakiegoś niepowiązania myślowego.

Dążenie do trzeźwości, do poważnego dostosowania się koniunkturalnego, raczej może się wyrazić w nieporuszaniu pewnych zagadnień, niż w komentowaniu zbyt subiektywnych, nie szukających oparcia na normatywach nas obowiązujących („Dziś i Jutro“ — katolickie) lub na przeoczeniu z szeregu poruszanych już faktów.

Rozumiem trudności z tym związane i również nie mogąc dotknąć wszystkiego, jako przykład tematu nie pogłębionego przekonywująco, przytoczę sąd p. Horodyńskiego o Fr. Roosevel'cie.

Z dziedziny faktów:

Dane biograficzne o Roosevel'cie mówią, że przeżył on taką klęskę — osobistą — w swym zaraniu: kalectwo i przemęczenie się — prawie zmartwychwstanie, że równało się to podróży w kraje niedostępne przeciętnemu śmiertelnikowi, chyba w Oświęcimiu. Wyszedł z tego duchowo skonstruowany zupełnie na nowo, nie tracąc jednak nic z bojowości dawnej i postawy dynamizmu, natomiast zyskując rozumienie czynnika woli i kontaktu z Prawdą, a niechęć do formułek.

Czy takie wartościowanie metod — u męża stanu — nie jest znamienne i nowoczesne, bardziej nowoczesne, niż wstydliwość w przyznaniu tego i tuszowanie (amerykańska obawa okazania sentymentu czy spirytualizmu, Sinclair Levis „Małżeństwa“, 1947). Zwycięstwo tej metody chrześcijańskiej w oczach katolika raczej zasługuje na uwypuklenie (bez łez) jako ilustracja do wiecznych praw realnego życia. Co do anegdoty o Roosevel'cie, ministrach i p. Eleonorze, to przed 40 laty doskonale ilustrowała ona impotencję cara Mikołaja II (mam już 60 lat), ale w stosunku do Roosevelta jest chybioną, o ile miałaby go ilustrować. Może chyba mówić, że jego treść była tak ważka, że szczegóły traktował jako elastyczne piłki. W tym sensie „zdrowy cynizm“ mógł być strażą, ochroną i narzędziem tylko (wobec dżungli agresywności ludzkiej) kryjącymi za sobą wspomnianą treść.

Co do wniosków:

Definiując Roosevelta jako „wielkiego gracza politycznego o zdrowym cyniźmie“ i jednocześnie określając wynik jego pracy jako podbudowę pod amerykański „humanizm socjalistyczny zabarwiony liberalizmem“, jako skupienie, wokół siebie uczuć należnych „bożyszczu-człowiekowi, który wyciągnął Amerykę z chaosu i potrafił doprowadzić do niebywałej potęgi“, autor artykułu nie daje nawiązania tłumaczącego, jak takie raczej poziome cechy męża stanu, dały tak gruntowne wyniki.

Wydaje się, że anglosaska powściągliwość w używaniu wielkich słów do określania istotnie wielkich rzeczy, wywołała u autora złudzenie optyczne i co do samej osoby Roosevelta i co do przypuszczenia autora, że w obecnych przemianach autor lepiej zna Amerykanów, niż oni sami siebie.

My, dzisiejsi czytelnicy nie boimy się słów pisanych i ostrych, burzących, ciętych i radykalnych, ale bezwzględnie chcemy dogłębności i precyzji, gdyż nieraz te słowa chwytamy w locie jak cegły budulcowe, a mają dla nas wartość tylko bardzo dobrze wypalone.

Z wysokim poważaniem

M. I. Jan Zarowski
Rudniki - Częstochowa

Przegląd czasopism

(Dokończenie na str. 10-tej).

się w dzisiejszym świecie. Dlatego zadaje pytanie:

„Czy wolno złych ludzi nienawidzieć? W obliczu szaleństwa cezarów i ich bogów, jak moloch pochłaniających ofiary ludzkie, nienawiść od grzeszników wydaje się myślą przewodnią wielu ludzi, może nawet całego pokolenia, nie mogącego się pogodzić z bezmiarem powszechnego bestialstwa. Wydaje się nam, że nienawiść do złego człowieka musi być większa i silniejsza od samego zła, po to, aby padło ono skruszone i pokonane. W takich chwilach jesteśmy gotowi błagać Boga o ogień nienawiści, jak o najwyższą łaskę. „Co za upiorny czas, gdy godnością człowieka jest nienawiść!“

I dalej:

„Świat jest borem pełnym wilków. Ci, którzy weszli w bór, by tępić nienawiść za pomocą nienawiści, wracają z boru zarażeni przekleństwem zła. Złego człowieka nie wolno nienawidzieć. Trzeba go leczyć jak trędowatego. W puszcze Europy, między ludożerców, tylko pozornie ucywilizowanych, powinny iść misje ludzi dobrej woli, orężne w święte prawo Dekalogu i w słowo Ewangelii, celem oswojenia bestii ludzkiej i zakucia jej w żelazną dyscyplinę ewangelickiej etyki.,

Jest to misja tym trudniejsza, że barbarzyńcy, żyjący w europejskiej dżungli, zbyt często swoją nieprawość i zbrodnie zasłaniają fałszywie komentowanym słowem Ewangelii i nakładają na twarz maskę Chrystusa. Typowa epoka Antychrysta.

Żołnierze słowa Polskiego stoją dziś u progu nowej, wielkiej pracy misyjnej. Świat czeka na misjonarzy Ducha Świętego. Czeka na Prostaczka, który natchnie człowieka łaską przezwyciężania samego siebie i duchem prawdziwej pokory. Widzimy w snach, jak przed wiekami papież Innocenty III, drobną postać człowieka podtrzymującego z nadludzkim wysiłkiem pękające mury naszej cywilizacji. Gdy człowiek ten przyjdzie do nas, poznamy go natychmiast po łagodności jego spojrzenia, ewangelicznych łachmanach i prostych słowach, które mówić będzie do ludzi, ptaków i kwiatów. Obojętne jest skąd przyjdzie i z jakiego narodu. Byleby zrzuciwszy z siebie bogaty strój i precz cisnąwszy majątek, jedynie w płaszczu i sandałach poszedł między Kainów i tłumaczył wszystkim ludziom, że nienawiść jest zbrodnią przeciw Bogu i człowiekowi, a zbrodnia ta jest zagładą człowieczeństwa. Niechaj idzie do gabinetów ministrów, między zbrojne oddziały ludzi złej woli, w pola naftowe, ociekające ludzką krwią, na targowiska dusz i ciał, do żydowskich dzielnic pogromu, do domów lynchowanych Murzynów, do więzień, do ziemi katorgi, do drapaczów chmur, do kopalń, do wytwórni bomb atomowych, niechaj przemówi do morderców i do mordowanych, do krzywdzicieli i krzywdzonych, i niechaj wreszcie przyniesie całemu światu na stygmatyzowanych dłoniach, powtarzających rany Boga — prawo do wolności i spokojnej śmierci.“

Ten akcent wydaje nam się zbyt katastroficzny. Przez wolność rozumiemy swobodę realizowania katolickich zasad ustrojowych w związku z przebudową społeczno-gospodarczą. Obowiązuje nas socjologiczny aktywizm. Przeciwstawiamy się filozofii świętego spokoju. Niepokój ideologiczny trwa. Nie ustaje dyskusja z marksizmem. Każdy miesiąc przynosi nowe opracowania krytyczne.

Niezmiernie interesujące studium z tej dziedziny przynosi 12 numer czasopisma „Myśl Współczesna“. Znakomity socjolog dr. St. Ossowski publikuje tam gruntownie przemyślane studium p. t. „Doktryna marksistowska na tle dzisiejszej epoki“. Przytaczamy pikantne wyjątki:

„Można by mówić o swoistym „połączeniu przeciwieństw“ w nowoczesnych środowiskach marksistowskich — zwłaszcza w krajach położonych na wschód od Renu: walczy się o postęp. o rewolucyjny program społeczny, walczy się z przesądami, głosi się dynamizm myśli i kult twórczości naukowej, wierzy się w niepowstrzymany rozwój nauki, a równocześnie, gdy wchodzi w grę sfera zagadnień objętych nauką Marksa, dla wielu nowoczesnych środowisk marksistowskich charakterystyczna jest neofobia, niechęć do wychodzenia poza aparat pojęciowy i problematykę drugiej połowy XIX wieku, jak gdyby — wbrew głoszonej doktrynie — wierzyło się, że w tych dziedzinach nic się nie zmienia.

To nie jest tylko staroświeckość pewnych pojęć i terminów i tendencja do operowania gotowymi, utartymi od kilkudziesięciu lat formułami. Wskrzesza się przebrzmiałe zagadnienia, wyrosłe z idealistycznej metafizyki zeszłego stulecia, galwanizuje się postaci Dühringów i Avenariusów, powtarza się bojowym tonem truizmy ukryte często pod barwną szatą aforyzmu, nie troszcząc się o nadanie im jednoznacznej, przejrzystej formy, która zlikwidowałaby zastarzałe nieporozumienia. Zamyka się natomiast oczy na prace uczonych dokonane w ciągu ostatnich 70 lat.

Trafnie na ogół zreferowane poglądy socjologiczne Marksa i Engelsa znajdzie czytelnik w książce Plechanowa w oprawie scholastycznej. Ta scholastyczna oprawa zamącić mu zdoła nie na żarty podstawy marksistowskiej dialektyki. Oto dowiaduje się, że „podstawą teorii Marksa — Engelsa o materialistycznym objaśnianiu historii jest pogląd Feuerbacha wyrażony w zdaniach następujących: „Byt — to podmiot, myślenie — to orzeczenie. Myślenie uzależnione jest od bytu, a nie byt od myślenia. Byt uzależniony jest od samego siebie... posiada swą podstawę w samym sobie“. Czytelnik, który nie jest obznajmiony z dziejami metafizyki ani ze stylem dysertacyj idealistycznych pierwszej połowy ubiegłego stulecia i który nie zna genezy tych średniowiecznych formuł, gdzie słowo „Bóg“ zostało zastąpione przez słowo „Byt“, może się tych formuł nauczyć na pamięć, ale to go nie zbliży do Marksa. A co będzie jeżeli zacznie myśleć? Dowiedział się oto, że byt nie zależy od myślenia. W jakim więc celu stworzono w Polsce urzędy planowania, w jakim celu włożono tyle wysiłku w opracowanie trzyletniego planu, skoro te wysiłki myślowe nie mają na rzeczywistość żadnego wpływu?

Wobec roli, jaką doktryna marksistowska odegrała i odgrywa nadal w ruchu robotniczym, wobec jej wartości propagandowych, wobec tego, że stała się wyznaniem wiary nie jakichś grup kameralnych, lecz milionowych rzesz, które idąc po drogach przez nią wskazanych odnosiły historyczne zwycięstwa, jest rzeczą zrozumiałą, że wśród pisarzy marksistów często przystępuje się dziś jeszcze do zagadnień, które wchodzą w skład tej doktryny, raczej z postawą egzegety niż badacza, że ma się skłonność traktować także i teoretyczną puściznę marksizmu jako tezy nienaruszalne, że chroni się raczej dziedzictwo przeszłości niż sięga ku nowym odkryciom, że powtarza się stare prawdy w sposób apodyktyczny i podejrzliwie patrzy się na tych, którzy względem nich próbują zająć normalną postawę naukową.

U niektórych marksistów można spotkać skłonność do sformułowań, które narzucają skojarzenie z ezoterycznością tekstów religijnych. Mam na myśli zwroty, które nie są pisane po to, aby je zrozumieć, lecz po to, aby wywoływały u czytelnika reakcje uczuciowe odurzając go równocześnie scientyficznością niezrozumiałych wypowiedzi.

Apodyktyczny ton, w którym często marksiści formułują swe tezy teoretyczne, ton, który razi naukowców budząc skojarzenia z niewzruszoną pewnością ludzi wierzących, ma inne jeszcze źródła związane z politycznym treningiem wielu marksistów. Objawiają się tam nawyki, wytworzone przez ich praktyczną działalność. W zbiorowym działaniu było rzeczą pożyteczną, aby praktyczne konsekwencje doktryny Marksa miały większą pewność niż ta, jaką dają hipotezy naukowe. Apodyktyczny ton jest poza tym niezbędny w starciu politycznym. Tam, jeżeli się chce zwyciężyć, jeżeli się chce zdobyć słuchaczy, nie można się wahać. Tam nie ma miejsca na sceptycyzmy. I właśnie nawyki walki politycznej przenoszą się nieraz na teren dyskusyj naukowych, tzn. tam, gdzie powinno chodzić nie o przeciwnika, lecz o wspólne dotarcie do prawdy.

Trzeba wyjść poza przemilczanie rzekomo drażliwych spraw. Te sprawy wiszą w powietrzu. Nabrzmiewają z każdym półroczem. W różny sposób dochodzą do głosu w artykułach bardziej żywo myślących marksistów.

Aby marksizm mógł odegrać wybitniejszą rolę w nowoczesnym życiu umysłowym, musi wystąpić jako czynnik ruchu. Nie wystarczy retrospekcja ani powtarzanie starych formuł; trzeba sięgać ku nowym zagadnieniom i nowym metodom. A z tym dynamizmem łączyć się musi postulat rzetelności naukowej, bez którego nie zwiąże się z ruchem rzetelnych mózgów.“

M. G.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna. Wydawca: Kolegium Redakcyjne.
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30 Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5. B-46931